№ 39 Warszawa, dnia 12 (24) Września roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ:

Od Redakcyi.

W kwartale czwartym r. b. pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie** — **k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

WAŻNE PYTANIE.

I.

Wśród licznych artykułów zapełniających szpalty pism codziennych, spotykamy często takie, które swą treścią i tendencyą zasługują na lepszy los, aniżeli zbutwienie i zapomnienie.

To też zadaniem prasy poważniejszej, tygodników i miesięczników, powinno być przypomnienie i krytyczny rozbiór myśli podniesionej przez codzienne pisma; notowanie podobnych faktów ma jeszcze i tę dobrą stronę, że praca jednostki nie ginie marnie, lecz powiększa kapitał myśli i zmusza do poważniejszego, wszechstronniejszego rozbioru.

Powodowani temi względami, podnosimy tu kwestyą, którą dawniej „Echo" w swych szpaltach pomieściło. Jest to kwestya wyższego zakładu naukowego dla kobiet.

Zbyteczną jest rzeczą rozszerzać się i udowadniać potrzebę i konieczność wyższego wykształcenia kobiety, którąby nietylko pozwalała błyszczéć rozumem i dowcipem, a olśniewać znajomością kilku języków i gry na fortepianie, ale co najważniejsza uczyło kobietę rozumiéć należycie i wykonywać swe obowiązki względem rodziny i społeczeństwa. „Minął wiek złoty — uczyć się trzeba", pogrzebano już dawne ideały: utrudnione warunki bytu, nagromadzenie i oddziaływanie palących kwestyi społecznych, powiew wolności indywidualnej, rozerwały dotychczasowe powijaki bierności, które krępowały kobietę—dziś musi ona być przedewszystkiem obywatelką, troszczyć się o byt swój i przyszłość, i współdziałać w moralnem odrodzeniu całego społeczeństwa.

Pomijamy na ten raz kwestyą kobiet zamężnych, które nieraz są zmuszone szukać pracy i zarobku; pomijamy los wdów, które własną pracą muszą zaspakajać swój byt, a wreszcie jednostki niezamężne, rzucone w świat bez opieki i podpory. Każda tu wymieniona kategorya ma swe dobre i złe strony, swe troski i radości i wymaga obszernego rozbioru i oceny warunków i czynników, które takie a nie inne wytworzyły stosunki.

Sprowadzając wszystko do jednego wspólnego mianownika, spostrzeżemy z łatwością, że główny punkt ciężkości spoczywa w — braku odpowiedniego wykształcenia kobiecego. Usuńmy to złe, toczące nasze społeczeństwo, a pozbędziemy się połowy ciężaru, który nas dziś przygniata w formie pytania: „Co mają robić kobiety z wyższem wykształceniem gdy są zmuszone wziąć się do pracy, pracować nietylko na swoje utrzymanie, ale nieraz na liczną rodzinę; panny kończące wyższe pensye i pragnące zająć życie czemciś poważniejszem aniżeli zabawą, tualetą i oczekiwaniem dobrej partyi?"

Przedewszystkiem rozpatrzmy się w jaki sposób zapatrują się same kobiety na tę sprawę. Autorka artykułu „Co mają robić?" z podpisem Wareg, wykazawszy dowodnie, że panny kończące dzisiaj wyższe pensye, prócz powierzchownej ogłady i problematycznej nauki, nic nie wyniosły z kilkoletniej pracy umysłowej w zakładach naukowych i że przed takiemi kobietami, tak samo, jak i bez nauki, wszystkie drogi wyższego a specyalnego wykształcenia są zamknięte, a w związku z tym stanem rzeczy możność zarobku i pozyskania stanowiska nasuwa te same zawsze trudności, stawia następujący program zakładu, któryby obejmował:

Wydział pedagogiczny, gdzie każda gałęź nauk klasycznych i ścisłych mogłaby być w dalszym ciągu wykładaną, a tym sposobem wytworzyłyby się specyalne nauczycielki, tem wyższe od dzisiej-

szych, że posiadając podstawę gruntowną, ogólną, mogłyby studyować jeden przedmiot przez się obrany, a mając po temu siły umysłowe i czas swobodniejszy kształconeby być mogły w bardzo obszernym zakresie; tak, że po ukończeniu kursów prawem przepisanych, mogłyby w tej chwili dostawać miejsce profesorek w średnich zakładach i to już bez żadnego ograniczenia co do klas wyższych.

Obok wydziału pedagogicznego, czy nie na dobie byłoby rozwinąć wykłady wydziałów: handlowego i gospodarstwa wiejskiego. Zdarza się bowiem ze smutkiem nieraz widzieć kobiety same sobie zostawione, które nie mogąc w żaden sposób ostać się na świecie, resztki swego, a często i dzieci mienia, hazardownie umieszczają w handlu, o którym pojęcia nie mają, na czem cała jego, jak to mówią, filozofia polega, bo ani ksiąg rachunkowych prowadzić nie umieją, ani o głównych miejscach zakupu nie wiedzą, ani na towarach się nie znają, ani praktyki jego nigdzie nabyć nie mogą, bo niewykwalifikowane w żądanym przedmiocie, kwalifikują się doskonale by je pierwszy lepszy w pole wyprowadził.

Znajomość zaś gospodarstwa wiejskiego, tak męzkiego w mniejszym zakresie, jak i kobiecego w najwyższym jego obrębie, przydałaby się bardzo kobietom, gdyby one choć cokolwiek się znały na tem, gdzie pszenicę, a gdzie siać żyto i jak jedno po drugiem ma następować w polnej robocie, toby nie wierzyły tak ślepo swoim oficyalistom, a w następstwie, gdyby zbiegiem okoliczności, pozostały wdowami, ze spokojem i ufnością patrząc w przyszłość, nie bałyby się już tak bardzo nieuczciwej opieki, ani nieumiejętności własnej, a ztąd nieraz niezaradności w gospodarstwie.

Ten wydział mógłby objąć także krótki zarys weterynaryi, tak potrzebnej w gospodarstwie wiejskiem i ogólne zarysy prawa, dotyczącego obywateli wiejskich.

Gdyby taki zakład dał się zorganizować, to możnaby w nim było pomieścić jeszcze wydział aptekarski, który już oddawna przez społeczeństwo za bardzo odpowiedni dla kobiet uznany został.

I oto jak widzimy, znalazło się już kilka nowych dróg pracy dla nas. Nie na tem jednak koniec, bo oto jedna jeszcze, którą szanowni czytelnicy przyjmijcie cierpliwie, aż jej plan poznacie, a wątpię, by w formie takiej, w jakiej ją tu podam, mogła być uznaną za niewłaściwą dla kobiet. Chcę się o niej rozpisać najszerzej, by tem skuteczniej pojęcie o jej drażliwości zniweczyć. Jest nią medycyna. Medycyna stałaby się właściwą gdyby była wykładana kobietom osobno przez zacnych i poważnych wiekiem ludzi, którzyby wykładając drażliwsze rzeczy, nie mieszali do nich żarcików luźnych, jak to podobno w szwajcarskich uniwersytetach się praktykuje, a traktując rzeczy seryo i wychodząc z zasady przysłowia łacińskiego, że dla przyzwoitych wszystko jest przyzwoite, starali się zachowaniem swojem potwierdzić słuszność tej sentencyi.

W programie rzeczonego zakładu, musiałyby być zupełnie oddzielne przepisy dla studentek medycyny. A najprzód niewolno byłoby wstępować na ten wydział przed ukończeniem lat 23 wieku, uważanego przez hygienistów za wiek zupełnie dojrzały, a zatem i do studyów więcej realnych stosowny. Niewolno byłoby przechodząc ogólną medycynę, zostawać lekarzem do innych chorób, jak kobiecych i dziecinnych; i w tym kierunku uczenice musiałyby obrać jakąś specyalność, czyto wyższą akuszeryą, czy chirurgią, czy choroby oczu, uszu, gardła, piersi, słowem wszelkich innych, ale zawsze tylko w związku bezpośrednim z ciałem kobiecem i dziecięcem zostających. Na takie tylko specyalności dyplomy dostawaćby mogły, a tym sposobem i w anatomii nie wszystkie części ciała ludzkiego jednakowo potrzebowałyby być studyowane, ale głównie te tylko któreby się odnosiły do ustroju ciała kobiecego, lub dziecinnego.

Aby taką wyższą szkołę w życie wprowadzić, proponuje autorka sposób użyty przy założeniu stowarzyszenia spożywczego „Merkury". Pan Nagórny podał myśl szczęśliwą, utworzenia kapitału zakładowego, nadzwyczaj łatwym sposobem. Oto trzy tysiące rodzin złożyło tylko po rs. 10, a zaraz powstała z tego suma 30,000 rs. wynosząca; — czyżbyśmy podobnie zrobić nie mogli, gdyby 10,000 rodzin klasy średniej w kraju całym, zechciały dać po 10 rs. na ten zakład, uczyniłoby to 100,000 rs., od czego szósty procent, wraz z wpisem uczenic, wynoszącym 75 rs. rocznie, uczynićby powinien co najmniej 13,500 rs. przypuszczając tylko 100 uczenic płatnych.

Zanim powyższy projekt poddamy ocenie jego praktycznej wartości, wysłuchajmy wpierw zdania innej autorki, która w tej sprawie głos zabrała pod przybranem nazwiskiem Gozdawa); i ona zgadza się na potrzebę założenia szkoły wyższej, widzi ujemne strony dotychczasowego wykształcenia w tem, że po pensyach uczą zadużo i zawcześnie. Widzimy panny,—są słowa tej autorki, rozwiązujące zadania algebraiczne, geometryczne, mozolnie, pilnie, nieraz bardzo trafnie, a nie zdających sobie sprawy czem jest algebra; umiejących na pamięć cały rodowód Piastów i dzieje księztw polskich z XIII wieku, a nie będących w stanie utworzyć sobie ogólnego obrazu dziejów kraju, słuchających hygieny z zajęciem nawet, ale ani trochę nie pojmujących jej działalności w życiu; cóż dopiero mówić o logice i psychologii, które wymagają koniecznie dojrzalszych umysłów.

Autorka godzi się na plan nauki poprzednio nakreślony, a mianowicie na wydział pedagogiczny, handlowy i aptekarski bez żadnych zastrzeżeń, lecz co do wydziału medycznego czyni słuszne uwagi, oponując przeciwko ograniczeniu wiedzy kobiety-lekarza i przeciw osobnym wykładom.

Projekt wydziału rolniczego z weterynaryą uważa autorka niepraktycznym, wychodząc z bardzo słusznej zasady, że w tej gałęzi wiedzy teorya bez praktyki jest rzeczą bezużyteczną i naraża na stratę czasu.

Kwestyą finansową przyjmuje autorka Gozdawa bez zastrzeżeń a kończy swój artykuł słowami: „Wykształcenie wyższe nie odejmuje, lecz podnosi przyrodzone zalety kobiet, z towarzyszek życia biernych czyni istoty poważniejsze, a zatem lepiej spełniające swe obowiązki i w razie potrzeby, będące w stanie korzystną, materyalną przynieść pomoc rodzinie. Pomijam już wszystkie korzyści, jakie gruntowne i specyalne wykształcenie przynieść może kobietom samotnym, tym świat pozwala być uczonemi, lękając się (?!) tego przymiotu dla żon i matek, zadając tym sposobem kłam prawdzie, którą jednak uznaje: że wiedza udoskonala, podnosi i uszlachetnia."

W pierwszym tym naszym artykule streściliśmy projekt i zdanie drugiej autorki — w następnym poddamy krytyce powyższe zapatrywania i rozbierzemy szczegółowo powyższą kwestyą.

A. Gruszecki.

Z NADOBNEGO ŚWIATA.

Ustępy luźne.

III.

ZAPYTANIE.

Co znaczy to ciche westchnienie?
Czy serce twe drgnęło litością?
Czy w piersi przemknęło wrażenie
Tej żądzy, co zwie się miłością?...

Lecz przebacz... zbyt śmiałe pytanie...
Nie żądam nieskromnej spowiedzi:
Niech raczej ukrytem zostanie,
Co duszę twą wzrusza lub biedzi...

Dźwięk słowa nie zawsze wypowie
Odcienia tych uczuć przelotnych,
Co snują się w sercu i w głowie,
Pod wpływem rozmyślań samotnych...

Tło uczuć, jak morze rozległe,
Najczęściej, po wierzchu faluje;
Lecz nurty, gdzieś w głębi zaległe
Wyjawi, gdy burzę poczuje...

IV.

GNIEWY.

Spójrz ma luba: słonko świeci,
Tak pogodnie na tem niebie,
I skowronek z piosnką leci,
Jakby śpiewał ją dla ciebie...

Wkoło jasno, cicho, błogo...
Zkądże chmurka na twem czole?
Czy swój uśmiech cenisz drogo,
Czy za mało moje bóle?...

Wszędzie wiosny wdzięk uroczy,
Świat wygląda tak wesoło,
A ty spuszczasz piękne oczy
I zasępiasz piękne czoło...

Czy doświadczasz swej potęgi?
Czy mnie dręczysz dla zabawy?
Pragniesz hołdu czy przysięgi,
Lub zazdrościsz bez podstawy!

Wydaj wreszcie wyrok srogi:
Moja miłość ciebie nudzi,
Czy ktoś inny bardziej drogi
W tobie czulszą miłość budzi?...

Ty się wahasz?... ty się chwiejesz?...
Jak postąpić, serce nie wie?...
O, filutko, ty się śmiejesz,
Uśmiechnij się... i po gniewie...

V.

DO LUBEJ.

O jakże mi dobrze i błogo przy tobie!...
Orzeźwia się serce znękane boleścią
I świat mi jest milszym w majowej ozdobie,
Gdy dusza odczuwa przychylność niewieścią...

Usuwa się smutek i troska gdzieś znika,
A życie znów wabi, jak uczta godowa,

I radość pogodna pierś moją przenika,
Gdy w uszach dźwięczy łagodna twa mowa...

Czar jakiś upaja mnie snami cudnemi:
Jak w latach młodzieńczych chcę śmiać się i bawić,
Chcę marzyć i roić o szczęściu na ziemi,
Chcę w oczy twe patrzeć i wciąż błogosławić...

VI.

DO PIĘKNEJ.

Na twem czole myśl połyska,
A w oczach natchnienie przeziera;
Z twoich ustek dowcip tryska,
Choć szatę poważną przybiera...

Czarem wioną twoje lica,
A uśmiech rozkoszą olśniewa;
Cudnie płonie twa źrenica,
Gdy dusza twa duma lub śpiewa...

Jakiś urok niepojęty
Promieni się w twojej postaci,
Urok jasny, jakby święty,
Co nigdy swej siły nie traci:

Bo gdy stąpisz, w tejże chwili
Ujmujesz nadobną postawą;
A gdy spojrzysz, tłum się chyli,
I wita cię skromnie... z obawą...

Z tą obawą czci bez końca,
Co płynie z wielkiego zdumienia,
Żeś ty czysta jak blask słońca,
A piękna, jak utwór natchnienia...

VII.

PRZY KOLEBCE.

Ona jedno dziecko miała...
Ona dziecko to kochała,
Jak się kocha swe istnienie,
Powab życia, lub zbawienie...

Śliczna-ż była to dziecina:
Uśmiechnięta, szczebiotliwa,
Hoża, świeża, jak malina,
Jak aniołek, dobra, tkliwa...

Nieraz, gdy pieszczoszka spała,
Przy kolebce matka stała,
Z głową nad nią pochyloną,
Z duszą szczęściem upojoną...

I czuwała z rozrzewnieniem,
Nad spokojem dziecka swego,
Żeby muszka nawet cieniem
Nie mąciła snu cichego...

Gdy dziecina błogo śniła,
Matka za nią się modliła,
By jej Pan Bóg zesłał z nieba,
Co na ziemi mieć potrzeba:

Umysł jasny i spokojny,
Serce czyste i wrażliwe,
Żywot zacny, bogobojny,
Szczęście ciche, lecz prawdziwe...

Snadź dziecina odczuwała
O co matka jej błagała,

Bo na twarzy śród uśpienia
Przemknął uśmiech rozczulenia...

I zbudziła się z westchnieniem...
Otworzyła ócz podwoje,
I ku matce z uniesieniem
Wyciągnęła rączki swoje...

Matka czule ją ściskała,
W oczy, w usta całowała,
I tak tuląc ją do łona,
Stała w duchu zanielona...

Nad nią w cieniu nieujętym,
Anioł Boży wnet się zjawił,
I łzą nieba w oku świętem
Miłość matki błogosławił...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Przewidując że coś złego może spotkać jego przyjaciela, p. Fellner pobiegł do pana Anibala Fischera, ojca dziennikarza, powiedział co zaszło, i nie mogąc sam żadnej przynieść pomocy, poradził sędziwemu starcowi aby się udał do *Hotelu Angielskiego* domagając się uwolnienia syna.

Anibal Fischer był to starzec ośmdziesiątletni; kazał się zaprowadzić do hotelu, i tam zapytał czy nie widziano jego syna. Odpowiedziano iż widzieli wchodzącego ale nikt nie widział czy wyszedł, i mówiąc że jenerał mieszka na pierwszem piętrze, radzono aby tam się dowiedział.

Idąc za tą radą, udał się do mieszkania jenerała, ale że tenże poszedł na śniadanie, nie wpuszczono go mówiąc, że audencya skończona. Gdy koniecznie domagał się, że potrzebuje widzieć się z jenerałem, powiedziano żeby usiadł i czekał, a może potem jenerał raczy go przyjąć.

— Czy nie możnaby zameldować jenerałowi, że pragnie widzieć się z nim ojciec przychodzący po swego syna? zapytał.

— Jakiego syna? zapytał jeden z żołnierzy.

— Mojego syna, radzcę Fischera, przyaresztowanego dziś w mieszkaniu burmistrza Fellnera.

— Patrzcie, to jego ojciec! rzekł jeden z żołnierzy.

— Jeźli przychodzi po syna to może go sobie wziąć, odrzekł inny.

— Jakto wziąć? zapytał starzec, nie rozumiejąc znaczenia ich słów.

— Jak sobie pan zechcesz, właśnie czeka na ciebie, odrzekł żołnierz, wskazując palcem zmarłego.

Sędziwy ojciec zbliżył się wolnym krokiem, przykląkł na jedno kolano, i unosząc głowę zmarłego wpatrywał się w twarz jego:

— Więc zabiliście go? zapytał stojącego obok żołnierza.

— Doprawdy nie, sam sobie umarł, odpowiedział.

Sędziwy ojciec ucałował czoło syna.

— Straszne są dnie takie, rzekł, w których ojcowie grzebią swe dzieci!

Potem zszedł ze schodów, skinął na tragarza i kazał mu przywołać trzech innych, poczem wrócił do przedpokoju i rzekł pokazując ciało zmarłego:

— Zanieście do mnie martwe zwłoki mego syna.

Tragarze znieśli ciało, położyli na noszach; przed nimi postępował ojciec blady, zapłakany, chwiejący się na nogach, gdy kto zapytał co to za dziwny pogrzeb bez księdza i pieni żałobnych, odpowiadał:

— To syn mój, radzca Fischer, którego mi zamęczyli Prusacy.

Gdy dochodził do bramy swego domu, już przeszło trzysta osób szło za zmarłym, a gdy wniesiono go do mieszkania, wszyscy tworzący żałobny kondukt rozbiegli się po mieście, powiadając kogo tylko spotkali:

— Prusacy zabili radzcę Fischera, syna sędziwego Anibala Fischera.

Radzca Fischer zmarł właśnie w 49 rocznicę urodzin; gdy burmistrz Fellner dowiedział się o tem:

— Ach! szepnął zadrżawszy i spoglądając machinalnie na rękę, na której widoczniej niż kiedykolwiek zarysował się krzyżyk na wzgórzu Saturna, otóż zaczynają się sprawdzać przepowiednie Francuza!...

XXXIII.

Pogrzeb.

Śmierć radzcy Fischera z którą przestała wychodzić „Gazeta Pocztowa" nie zadowolniła zemsty jenerała Falkensteina, jaką tchnął przeciw dziennikom i pismom peryodycznym wychodzącym w Frankfurcie; zaraz nazajutrz zabronił wydawać: „Gazetę codzienną", „Przyjaciela ludu", „Ostatnie wiadomości" i „Latarnię frankfurtską". Dnia 18 lipca wydał i ogłosił następujące postanowienie:

„Z wydawanych dotąd pism i dzienników, tylko następujące mogą wychodzić nadal:

1) „Dziennik frankfurtski"; 2) „Gazeta giełdowa"; 3) „Dziennik urzędowy"; 4) „Przewodnik frankfurtski"; 5) „Akcyonaryusz"; 6) „Obraz teatru"; 7) „Kronikarz"; 8) „Dziennik giełdowy"; 9) „Gazeta kąpielowa"; 10) „Przyjaciel rodzin"; 11) „Gazeta targu końskiego"; 12) Gazeta stenograficzna"; 13) „Gazeta muzykalna".

Pod powyższą listą, stało:

„Wydawnictwa wszelkich innych gazet, dzienników i pism codziennych czy tygodniowych, wychodzących dotąd w Frankfurcie, niniejszem się zabrania.

Dnia 18 lipca 1866 r.
Frankfurt, w kwaterze głównej.
Naczelny dowódzca armii Renu,
von Falkenstein."

Zgodnie z zapowiedzeniem, jenerał wysłał o piątej po południu oddział złożony z ośmiu żołnierzy pod dowództwem feldfebla, oraz dwóch ludzi z taczkami, rozkazując im udać się do banku dla przewiezienia nałożonej kontrybucyi, 7,747,008 florenów.

Tak nie miał pojęcia o wadze i objętości gotówką tak wielkiej sumy, która nawet w złocie ważyłaby wiele tysięcy funtów, iż dla przewiezienia jej wysłał dwóch ludzi i dwie taczki. Gdy powrócili

bez żądanej kontrybucyi, jenerał wpadł w gwałtowny gniew, klął i wygrażał iż jeźli jutro cała suma nie będzie zapłaconą, pozwoli żołnierzom rabować i zbombarduje miasto.

Nie czekając wydał rozkaz aresztowania dwóch senatorów, von Bernus i von Speltz, poczem zaprowadzono ich na główny odwach, i ustawiwszy ich na dwie godzin za kratą, aby wszyscy mogli widzieć jak lekceważy i za nic nie ma władze i dygnitarzy miejscowych, odesłał ich do Kolonii pod eskortą czterech żandarmów.

Wstrętny ten i dziki postępek tak przeraził wpływowe osobistości, iż wielu z nich udało się do dyrektora banku prosząc aby miastu zaliczył jako pożyczkę żądane siedm milionów. Po długich wahaniach, członkowie banku zgodzili się na to żądanie, i nałożona kontrybucya została zapłaconą.

Tegoż dnia, przed dziesiątą rano, dzielny batalion frankfurtski, składający się z 800 ludzi, który z honorami wojskowemi odprowadzał Prusaków na dworzec i powitał ich wchodzących 16-go lipca, odebrał rozkaz uszykowania się na dziedzińcu przy koszarach. O samej dziesiątej przybył pułkownik pruski, von der Goltz, dowódzca 19-go pułku piechoty, w towarzystwie dwóch adjutantów i dowódzcy liniowego batalionu frankfurtskiego, majora Boeing; uderzono w bębny, na znak że rozkaz jakiś ma być ogłoszony. Nie wiedząc o co chodzi, batalion sprezentował broń.

Wtedy major Boeing odczytał rozkaz dzienny, mocą którego z polecenia głównodowodzącego armią Menu, j. e. jenerała barona von Falkenstein, batalion frankfurtski zostaje rozwiązany.

Na tę niespodziewaną wiadomość, ciche łzy popłynęły po twarzach wielu, szczególniej starych żołnierzy. Drżącym i zmienionym głosem major Boeing przemówił do żołnierzy, zalecając aby do ostatniej chwili zachowali zalecającą ich karność, i nie zapominali, że oficerowie ich zawsze po ojcowsku obchodzili się z nimi.

Tym którzy służyli nie całe sześć miesięcy, wypłacono po 50 florenów, odebrano płaszcze, dozwalając zatrzymać mundury; zostającym w służbie więcej niż pół roku, wypłacono po 250, dłużej niż rok, po 250 florenów, — poczem w obecności pułkownika von der Goltz, rozkazano wszystkim złożyć w arsenale broń i całe wyekwipowanie żołnierskie. Wypłata przyznanych *wynagrodzeń* dokonaną została o drugiej po południu, przez dowódzców kompanii.

Tegoż samego dnia (19 lipca) senatorowie i burmistrzowie przedstawiający zarząd miasta, z rozkazu jenerała Falkensteina zmuszeni byli wydać zawiadomienie: iż nazajutrz, zaczynając o wpół do siódmej rano, wszystkie zbytkowe konie, powozowe i wierzchowe, miały być dostawione na plac mustry, pod karą 100 talarów za każdego niedostawionego. W tym jednym dniu zabrano 700 koni.

Ale dodać jeszcze trzeba, że nie same tylko zdatne dla wojska konie zabierano. Oficerowie chodzili i skoro który skinął gdy przeprowadzano jakiegoś konia, komisarz wyznaczony kazał go odstawiać. Tym sposobem zabrano pani Rothschild cztery małe zaprzęgowe poneye.

Po takiej razzii nie widziano na ulicach Frankfurtu ani jednego ekwipażu. Bardzo mało zostało koni uznanych za niezdatne dla wojska, i jeszcze właściciele ich zmuszeni byli meldować codziennie, że znajdują się w ich stajniach, jakoteż zdawać sprawę w jakim stanie znajdują się ich powozy, gdyż posługiwano się niemi do ściągania rekwizycyi. Panie frankfurtskie musiały jeździć fiakrami; lecz jeźli spotkały jakiegoś pruskiego oficera chcącego jechać powozem, zatrzymywał fiakr, kazał wysiadać natychmiast, bez względu na słotę lub błoto.

Zdawałoby się, że podobna gburowatość i zapomnienie najelementarniejszych względów przyzwoitości towarzyskiej, nie mogłyby miéć miejsca w ucywilizowanym kraju, a jednak najwiarogodniejsze osoby mogą zaświadczyć rzetelność faktów jakie podajemy.

Zaraz nazajutrz wydano dwa następne rozporządzenia:

1) Aby codziennie przed ósmą rano, dostawiano do biura policyi listę cudzoziemców przybyłych do miasta, czy to stojących w hotelach, czy w domach prywatnych.

2) Dnia 19-go lipca, po południu, przewodniczący w następujących, istniejących w Frankfurcie towarzystwach: Karabinierów, Gimnastycznem, Miejskiej obrony narodowej, Młodej milicyi, Mieszczan z Sachsenhausen, oraz Towarzystwa nauczania ludowego, odebrali zawiadomienie iż wszystkie te towarzystwa zostają rozwiązane. Towarzystwa ćwiczące się w robieniu bronią, odebrały rozkaz aby ją złożyły władzom wojskowym tegoż dnia przed godziną 6 wieczorem. W końcu jenerał dołączył parę słów tłomaczących przewodniczącym w tych wszystkich towarzystwach, iż zmuszony jest przedsięwziąć podobne środki z powodu ważnych obecnych okoliczności.

Zadziwi was to zapewnie, sz. czytelniczki, jakim sposobem coś zakrawającego na jakąkolwiek uprzejmość, mogło powstać w mózgownicy lub wyjść z ust takiego Falkensteina? O! to też nie dopuścił on się podobnego wykroczenia przeciw swemu charakterowi i nawyknieniom, gdyż zaraz po podniesieniu nałożonej kontrybucyi, o godzinie drugiej po południu opuścił Frankfurt. Przybyły na parę tylko godzin jenerał von Wrangel, mógł wspaniałomyślnie okazać się uprzejmiejszym od dwóch grubiańskich kolegów.

O piątej przybył jenerał Manteuffel.

Tegoż dnia rano, urzędowy dziennik frankfurtski, wyszedł po raz ostatni ze swoim dotychczasowym tytułem „Dziennik wolnego miasta Frankfurtu”, od owego numeru nosi nazwę: „Dziennik miasta Frankfurtu nad Menem”.

Za jeden wyraz *wolnego* dano Frankfurtczykom dwa *nad Menem*, czysty zysk! i nie byli zadowolnieni.

Jenerał Falkenstein przyrzekł miastu, że na skutek niszczącej kontrybucyi, wolne będzie od wszelkich liwerunków w naturze, z wyjątkiem cygar — gdyż, rzecz niesłychana, Frankfurt zniewolony został dostarczać codziennie po 9 cygar dziennie, nietylko żołnierzom ale i oficerom — jednakże zaraz po przybyciu swojem, jenerał Manteuffel wydał następujące rozporządzenie:

„Dla zapewnienia dostatecznej żywności wojskom pruskim, z rozkazu j. e. jenerała dywizyi Manteuffla, naczelnego wodza armii Menu, niezwłocznie założony zostanie w mieście skład, do którego ma być dostawione:

„Piętnaście tysięcy bochenków chleba, po 5 funtów i łutów 9; 1480 centnarów sucharów; 2,000 funtów mięsa wołowego; 800 funtów słoniny; 450 funtów ryżu; 100 funtów soli, 5,000 centnarów owsa.

„Jedna trzecia część ma być złożona w odpowiedniem miejscu i oddana do rozporządzenia do dnia 21 lipca rano, druga i trzecia tegoż dnia wieczorem, a ostatnia część najpóźniej 22 lipca.

„Wszystkie wymienione przedmioty, mają być jak najstaranniej utrzymywane, i dopełniane w miarę ubywania. Wyznaczony będzie odpowiedni zarząd.

Frankfurt 20 lipca, 1866 r.

Wojskowy intendent armii Menu,

Kasuiskil.”

Nazajutrz po otrzymaniu powyższego rozporządzenia, pan Fellner siedział z rodziną przy śniadaniu, gdy doręczono mu list od nowego komendanta.

Wziął go drżącą ręką; zaadresowany był do *„Dostojnych panów Fellner i Müller pełnomocników rządu miasta Frankfurtu.”*

Kilkakrotnie nie rozpieczętowawszy obracał go w ręku. Pani Fellner drżała, p. Kellner, szwagier burmistrza, zbladł choć nie domyślał się co list zawiera; dzieci płakały usłyszawszy boleśne westchnienie jakie wydarło się z piersi ojca, jak gdyby przeczuwającego o co chodzi.

Nareszcie rozpieczętował list. W miarę czytania twarz jego siną pokrywała się bladością; cała rodzina zerwała się przerażona, oczekując co im powie. Ale nieszczęśliwy burmistrz milczał; wsparł głowę na ręku, list upadł na ziemię. Szwagier podniósł go i przeczytał głośno:

„Do dostojnych panów Fellner i Müller, pełnomocników rządu miasta.

„Wzywa się panów niniejszem do przedsięwzięcia potrzebnych środków, aby w przeciągu dwudziestu czterech godzin miasto zapłaciło 25 milionów kontrybucyi do kasy wojskowej armii Menu.

20 lipca, 1866 r.

Główna kwatera w Frankfurcie nad Menem.

Naczelny wódz armii Menu,

Manteuffel.”

— Ach! wyszeptał Fellner, jakżeś ty szczęśliwy, biedny Fischerze!...

W tejże chwili rozległ się dźwięk dzwonu katedralnego, zwiastującego miastu posępnym głosem iż miano odprowadzić na wieczny spoczynek tego właśnie któremu burmistrz zazdrościł szczęścia.

Jakoż pogrzeb radzcy Fischera zapowiedziany był na godzinę dziesiątą.

Fellner wstał, włożył do pugilaresu list jenerała Manteuffela, milcząc uściskał żonę i dzieci, i biorąc kapelusz rzekł do szwagra:

— Czy pójdziesz ze mną?

— Tak, odrzekł tenże.

Skutkiem niejakiego spóźnienia się, spowodowanego listem jenerała Manteuffel, gdy wyszli, ciało zmarłego przeniesione już było z domu ojca do katedry. Przyśpieszyli kroku. Nie mogli jednak dostać się nawet do kruchty; kościół był przepełniony; tłumy przybyłe na pogrzeb zalegały plac dokoła.

Przypadkiem Fellner spotkał się z kolegą swoim Müllerem, który także nie mógł wcisnąć się do kościoła. Odprowadził go na stronę i pokazał list Manteuffla. Müller przeczytał zbladł i zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Co począć? zapytał.

— Nadeszła godzina walki; niech Bóg czuwa nad nami!

W tej chwili skończyło się w kościele nabożeństwo żałobne; żałobnicy wynieśli trumnę i postawili na skromnym karawanie, gdyż ojciec zmarłego życzył sobie, aby zamiast roztaczania pogrzebowego przepychu, znaczną sumę rozdać ubogim.

Sędziwy ośmdziesięcioletni starzec sam prowa-

dził kondukt; szedł z odkrytą głową, srebrne włosy spadały mu na ramiona. Za nim szedł burmistrz Fellner i Müller, następnie cały Senat prócz panów von Bernus i Speltz, wywiezionych z Frankfurtu, których nazwiska były na wszystkich ustach; Ciało prawodawcze, Rada pięćdziesięciu jeden, a nareszcie kilka tysięcy osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, nakoniec ubodzy którym hojną rozdano jałmużnę. Wszyscy zwrócili się ku cmentarzowi Rodelheim.

W ciągu drogi, szereg postępujących za pogrzebem zwiększył się w dwójnasób. Kto tylko znał Anibala Fischera, zbliżał się do nieszczęsnego starca, pozdrawiał i ściskał dłoń jego, poczem wracał do szeregu.

I każdej z tych osób, sędziwy starzec mający tylko jedną myśl w głowie i jedno słowo w ustach, powtarzał z boleścią:

— To mój syn, którego mi Prusacy zabili!

Niepodobna wystawić sobie nic posępniejszego nad ten pogrzeb bez księdza, bez pieni religijnych, albowiem wyznanie protestanckie odrzuca wszelkie obrządki przyjęte w katolickim kościele, a tak przemawiające do serca!

Przyszedłszy na cmentarz spuszczono trumnę do przygotowanego grobu; wtedy dopiero nieszczęśliwy ojciec głośnym zaniósł się płaczem, i już nie do ludzi ale do Boga się zwracając, wzniósł ręce ku niebu wołając głosem bezmiernej rozpaczy:

— Boże mój! to był syn mój, a Prusacy mi go zabili!

Nikt nie przemawiał nad grobem; jakiż mówca mógłby wypowiedzieć coś wymowniejszego, nad krzyk zemsty i miłości nieszczęsnego ojca:

— *Boże mój! to był mój syn, a Prusacy mi go zabili!*

Orszak który poprowadził syna do grobu, odprowadził sędziwego ojca do pustego domu.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT II.

(Dalszy ciąg.)

Scena druga.

ROGER, KSIĘŻNA, PANI de CÉRAN.

Pani de Céran. Cóż to znowu? Czemuż ty jeszcze nie przy twoim raporcie? cóż się nareszcie dzieje?

Roger. Miałaś mamo, aż zanadto słuszności...

Pani de Céran. Z Zuzanną?

Roger. Zuzanna... i ten człowiek.

Księżna. Nie mów lepiej, bo powiesz głupstwo.

Roger. A jednak...

Księżna (do pani de Céran). Dostrzegliśmy ten oto list w jej rękach.

Pani de Céran. Od Bellaca?

Księżna. Nie wiem.

Roger. Jakto nie?

Księżna. Pismo zmienione, niepodpisane. Nie wiem, nie.

Roger. Bo on się boi skompromitować, ale wiedzcie...

Księżna (do Rogera). Zamilcz lepiej. (Do pani de Céran.) Posłuchaj „przybywam we czwartek...”

Roger. Dzisiaj, czyli że jest to on albo ja.

Księżna. Ale przestańże już raz: (czyta) „we czwartek, wieczór o godzinie dziewiątej w cieplarni”.

Roger. „Udaj migrenę”.

Księżna. A prawda, zapomniałam: „udaj migrenę”.

Pani de Céran. To znaczy schadzkę.

Księżna. Co do tego, rzecz jasna.

Pani de Céran. Z nią?

Księżna. Co do tego, nic nie wiem.

Roger. Mnie się jednak zdaje.

Księżna. Tobie się zdaje... Kiedy chodzi o oskarżenie kobiety, pojmujesz to... kobiety, wtedy nie wystarcza, że się komuś coś zdaje, — potrzeba widzieć, a gdy się dobrze słyszało i jasno widziało i znowu widziało... wtedy dopiero, tak wtedy... Otóż i wtedy jeszcze, jasno nie wiesz prawdy. (Na stronie.) Młodym ludziom dobrze mówić zawsze w ten sposób.

Pani de Céran. Schadzka! a cóżem mówiła? nie mogło być inaczej: liść niedaleko pada od jabłoni... lecz w moim domu... ta gryzetka. Nareszcie cóż księżno zamyślasz uczynić? Powiedz prędko. Prosiłam wprawdzie, ażeby beze mnie zaczęto, ale nie mogę przecież siedzieć tutaj wiecznie. O! już zaczęli, słyszę poetę. Błagam księżnej co myślisz uczynić?

Księżna. Co myślę uczynić?... Naturalnie zostać tutaj... poprostu... Trzy kwadranse na dziewiątą. Jeżeli to ona ma tę schadzkę, w takim razie musi przechodzić tędy, a wtedy zobaczę.

Roger. A jeżeli ona pójdzie tam?

Księżna. Jeżeli tam pójdzie? No to i ja tam pójdę nic nie mówiąc, i zobaczę jak daleko są oni ze sobą, a gdy już się przekonam jak są ze sobą... wtedy będzie czas działać!

Roger (siadając). Niech i tak będzie—czekajmy!

Pani de Céran. Tyś tu mój synu niepotrzebny. My tu zostaniemy, ty masz twój raport, twoje tumuli idź, idź...

(Popycha go ku drzwiom.)

Roger. Pozwól, mamo, tu chodzi...

Pani de Céran. Chodzi tu o twoje stanowisko... Idź, idź!

Roger (opierając się). Przebacz, że będę nieposłuszny, ale...

Pani de Céran. Rogerze.

Roger. Proszę cię, matko... właśnie tego wieczoru nie mógłbym słówka napisać... jestem zanadto... niewiem co... ale jestem zanadto zmieszany... Doznaję takiego uczucia jak gdybym nie uczynił dla niej tego com uczynić był powinien. Jestem zanadto wzruszony... no pomyśl tylko, droga matko... ta Zuzanna... nie, to byłoby straszne... położenie moje jest okropne!

Księżna. Przesadzasz mój drogi!

Roger (zrywając się). Doprawdy?!

Pani de Céran. Rogerze, co z tobą?

Roger. Jestem przecież jej opiekunem, mam opiekę nad jej duszą! pomyślcież o mojej odpowiedzialności! O honorze tej dziewczyny. Wszak to był święty skarb, który mi dano do strzeżenia! więc mniej bym był winny, gdybym pozwolił skraść cały jej majątek... A ty, matko, mówisz mi teraz *otumuli! Tumuli!...* Teraz mnie mają obchodzić tumuli! Niech już raz djabli porwą wszystkie *tumuli*

Pani de Céran (przerażona). Co? co?

Księżna (na stronie). Patrzcie państwo!

Roger. Bo trzeba raz powiedzieć, że jeżeli prawdą jest, że ten nędznik śmiał uchybić temu co był winien jej i nam... to pójdę wprost, i wypo liczkuję go wobec... wszystkich... rozumiecie mnie?

Pani de Céran. Synu!

Roger. Tak, wobec wszystkich!

Pani de Céran. Ależ to obłęd jakiś... księżno... przebacz...

Księżna. Nie mam nic do przebaczenia, owszem ja go tak wolę.

Pani de Céran. Rogerze!

Roger. Nie, moja matko... to do mnie już tylko należy... zaczekam więc (siada).

Pani de Céran. Dobrze, a więc i ja zaczekam.

Roger. Ty?

Pani de Céran. Tak i powiem jej...

Księżna. Strzeż się!

Pani de Céran. Bądźcie spokojni, powiem ostrożnie, tak, tak, a jeżeli będzie się jeszcze upierać, w takim razie nie wie chyba co czyni... Poczekam... (siada.)

Księżna. Niedługo już. Brakuje jeszcze pięciu minut do dziewiątej. Jeżeli ma mieć migrenę to wnet już ją mieć powinna. (Drzwi salonu zwolna otwierają się). Cicho!

Roger. Otóż i ona!

(W miarę jak się drzwi zwolna otwierają, słychać deklamującego poetę.)

Poeta (ztamtąd).

Cały ten ród wyplenię do szczętu,
A z zemsty mojej i piekieł odmętu
Wystawię pomnik nieśmiertelnej grozy...

(Ukazuje się Joanna, głos zacicha w miarę jak się drzwi zamykają.)

Księżna (na stronie). Podprefektowa!

Scena trzecia.

Ciż i JOANNA.

Joanna (zatrzymuje się zmieszana, ujrzawszy obecnych). Ach!

Księżna. Zbliżże się pani... Zdaje się, że pani ma już dosyć tej deklamacyi?

Joanna. Broń Boże, tylko że proszę księżnej...

Księżna. Nie lubisz pani tragedyi, widzę to.

Joanna. Owszem, lubię.

Księżna, Nie trzeba się bronić, tego gustu co pani, znalazłoby się więcej. (Na str.) Co jej jest? (Głośno.) Więc to złe? co?

Joanna. Przeciwnie.

Księżna. Przeciwnie, to niby tak jak gdyby kto pani nastąpił na nogę.

Joanna. Nie... nie.. owszem są tam rzeczy... są tam — jest tam wiersz bardzo ładny.

Księżna. Już?

Joanna. Który bardzo oklaskiwano. (Na str.) co tu robić?

Księżna. A cóż mówi ten ładny wiersz?

Joanna. „Housz jest jak bóg... Jest to bóg, który... bałabym się go zepsuć złem przytoczeniem.

Księżna. Zachowaj go więc przy sobie moje dziecko. Ale pomimo tego ładnego wiersza odchodzisz?

Joanna. Ah! Boże, z wielkim żalem. (Na str.) Co tu powiedzieć? (Wpadając nagle na pomysł.) Nie wiem jednak... czy to znużenie... czy gorąco... dziś się nie czuję bardzo dobrze.

Księżna. Aha!

Joanna. Tak mi czegoś w oczach... nie widzę jasno... zdaje mi się, że mam migrenę.

Pani de Céran, Księżna i *Roger* (powstając). Migrenę?

Joanna (na str. przestraszona). Co się im stało?

Księżna (po chwili). Nie dziwi mnie to zresztą, to leży w powietrzu.

Joanna. Czy i księżna ma migrenę?

Księżna. O nie... To już nie na mój wiek te rzeczy. A więc ty masz moje dziecię... kiedy tak, trzeba sobie radzić.

Joanna. Dlatego chcę pochodzić trochę... Wszak mi państwo przebaczacie?

Księżna. Proszę się nie krępować.

Joanna (trzymając się za głowę odchodząc). Tak mnie boli. (Na stronie.) Nareszcie, a Pawełek niech sobie także radzi. (Wychodzi drzwiami do ogrodu.)

(*D. c. n.*)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Biedni L. Świderskiego; **Zwolennicy magnetyzmu** A. Messinga.

Pan Leopold Świderski dał się poznać naszej publiczności zeszłego roku udatną komedyjką „Jesienią", a obecnie trupa artystów poznańskich pod dyrekcyą p. Doroszyńkiego, wystawiła „Ojcowiznę", komedyę osnutą na tle życia obywatelskiego, która cokolwiek szwankując w budowie i akcyi, jednak podobała się publiczności. Na początku b. m. zapoznał nas p. Doroszyński z nowym utworem p. Świderskiego p. t. „Biedni", obraz z życia warszawskiego, w pięciu odsłonach.

Ważność i wpływ teatru na społeczeństwo uznawali już Ateńczycy dając kosztem miasta widowiska dla ludu, my nie doszliśmy jeszcze do tej perfekcyi, by urządzać bezpłatne przedstawienia teatralne, któreby w sposób łatwy i malowniczy wpływały na umoralnienie niższych warstw społecznych.

Co gorsze, nie mamy w naszej literaturze dramatycznej kreacyi odpowiednich do zainteresowania tej części społeczeństwa, do której żywe słowo przemawia dosadniej i głębiej aniżeli tomy moralnych książek, które najczęściej spoczywają na półkach księgarskich,—ci bowiem dla którychsą przeznaczone, albo ochoty, albo czasu nie mają na czytanie takich dzieł. Wprawdzie grywano i na naszych scenach utwory podobnego zakroju np. „Dwie sieroty" lub „Marya Joanna", lecz były to tłomaczenia, rzeczy obce, które niezawsze dały się zastosować do naszych warunków.

Tem większą jest zasługa pana Świderskiego, że poświęcił swe pióro tego rodzaju pracy i wprowadził na scenę troski i bóle, łzy i uśmiechy tej warstwy społecznej, która aż nazbyt często ulega pokusie lekkomyślnego życia nie mając podpory w silnych zasadach moralności i pracy.

Autor wprowadza na scenę czeladnika krawieckiego, Jana Zawrzał, który żyje spokojnie i uczciwie z młodą i piękną żoną, i płynęłoby im życie dobrze, swobodnie, dostatnio, bo oboje są dobrzy, pracują chętnie i zaoszczędzili sobie małą sumkę, w nadziei, że kiedyś założą sklep krawiecki. Lecz Jan posiada charakter słaby, wrażliwy, podatny zarówno do złego jak i dobrego, dał się wciągnąć w towarzystwo wesołych koleżków, birbantów i nicponiów,—są między nimi i robotnicy fabryczni i gorsi od nich, bo na wskroś zepsuty obieżyświat, Obełgalski, który pochwytał kilkanaście frazesów z różnych języków i niemi imponuje swym towarzyszom, i ex-woźny, a obecnie pokątny pisarz, który w każdej chociażby najbrudniejszej sprawie nie waha się rąk umoczyć. Takie towarzystwo złożone z zepsutych i rozpustnych ludzi, wyłudza zaoszczędzone pieniądze czeladnikowi, zachęca go do picia i życia bez jutra.

Ujemnym tym wpływom nie może sprostać ani szlachetna miłość żony, ani surowe napomnienia teścia, ani świadomość złego postępowania: wyrzuty sumienia topi Jan w kuflu piwa i kieliszku gorzałki, a cyniczne słowa towarzyszów głuszą dobre instynkta.

W pierwszej odsłonie przedstawia autor mieszkanie czeladnika i jego życie, na którem istnieje tylko jedna chmurka, oto, że pan Jan lubi pohulać. Żona prosi go, by jeden wieczór dla niej poświęcił, na co Jan, po krótkiem wahaniu, przystaje, wtem zjawiają się złe duchy w postaci towarzyszów, których namowie i zachęceniom nie umie Jan się oprzeć i — poszedł pohulać.

Druga odsłona przedstawia Saską Kępę, kufle piwa krążą coraz częściej, Obełgalski wypowiada teorye komunistyczne, zaprawne nienawiścią ku wszystkim bogatym, wtoruje mu ex-woźny, a ślepo naśladują robotnicy. Jedynym trzeźwym słuchaczem i uczestnikiem jest żyd Dawid, uosobiona prawość i szlachetność, który wypowiada piękne zdania o solidarności i oszczędności żydów, przeciwstawiając te zalety lekkomyślności i rozrzutności chrześcian. Scena kończy się upiciem się Jana i ogólną wesołością manifestującą się tańcem z ex-rzeźniczką ze Starego Miasta i jej córeczkami.

W odsłonie trzeciej wprowadza nas autor na poddasze, gdzie biedna żona Jana zmartwiona, opuszczona, bez środków do życia, czuwa nad kołyską swego dziecka; najpierw musi się bronić przed natarczywością lowelasa, następnie rozgrywa się smutna scena z właścicielem domu, który natarczywie domaga się zapłaty komornego,—ratuje opuszczoną poczciwy stróż, ofiarując jej swoją izbę na chwilowe schronienie. W tym samym czasie wchodzi Jan z dwoma towarzyszami; znakomicie pomyślaną jest ta scena kontrastu, gdy Jan ujrzawszy pustą kołyskę, rozpacza i woła żonę, a jego towarzysze pijani sypią cynicznemi uwagami i nie mogą zrozumieć stanu serca nieszczęśliwego czeladnika. Wejście teścia, który groźno wyprasza Obełgalskiego i ex-woźnego, a przeklina Jana, jest chwilą bardzo efektowną i silnie dramatyczną.

W następnej odsłonie jesteśmy na ulicy; po jednej stronie są ustawione rzeczy żony Jana przeznaczone na licytacyą, z drugiej jest piwiarnia, w której się raczą zbiedzony Obełgalski i jego towarzysze: obdarty, wygłodzony Jan zostaje grubiańsko odepchnięty, a zagrożony stójkowym ucieka. Jeszcze chwila, a licytacya pozbawiłaby biedną pracowniczkę całego dobytku; wtem zjawia się żyd Dawid, który powodowany filantropią, pożyczką bezzwrotną ratuje nieszczęśliwą.

Ostatnia scena rozgrywa się w mieszkaniu żony Jana, która, dzięki pożyczce Dawida i pomocy dobroczyńców, żyje spokojnie i pracowicie; ścigany Jan za mniemaną kradzież przypadkowo chroni się do tej izby, odnajduje żonę, dziecko, teścia i przyrzeka poprawę, którą pewnie dotrzyma.

Od podobnego obrazu nie możemy naturalnie wymagać wybitnej charakterystyki osób, ścisłej konsekwencyi i uzasadnienia psychicznego przedstawionych czynów, — już z swej natury podobny obraz musi być szkicowo traktowany, ale natomiast nie możemy przemilczeć, że ugrupowanie całego szeregu ujemnych postaci, a zrobienie żyda jedynym przedstawicielem szlachetniejszych popędów, jest rzeczą wadliwą. Nie mówimy tego, powodowani niechęcią ku żydom, przeciwnie gorąco pragniemy by takich Dawidów było jak najwięcej, ale zbytnie idealizowanie jest tak samo szkodliwe jak niepomierna nagana. W pracy autora znać reminiscencye „Majstra i czeladnika" i „Żydów" Korzeniowskiego, a kontrast pomiędzy niemcami a polakami nie został należycie wyzyskany. Mimo tych usterek, praca ta świadczy o rozwoju talentu autora, który na tej drodze nietylko może zyskać powodzenie, ale i pożytycznie usłużyć społeczeństwu.

Gra artystów była wogóle dobrą, na szczególną pochwałę zasługują jednak pp. Linkowski, Hofman, Królikowski i Feliński, zaś z ról kobiecych, pani Linkowska i panna Kałużyńska, która potrafiła być czułą żoną i dramatyczną a nieszczęśliwą ofiarą.

„Zwolennicy magnetyzmu", komedyjka w dwu aktach, odegrana przez towarzystwo p. Puchniewskiego w Alhambrze, jest obrazkiem z życia mieszczańskiego, napisanym z werwą i prawdą, jakkolwiek niebrak i błędów technicznych i zbytku soli niezawsze attyckiej. Oto zmarła zamożna babka, krewni zbiegają się jak kruki na żerowisko, by podzielić się spadkiem,—naturalnie każdy pragnie otrzymać lwią część, nikt zmarłej nie żałuje, nikt o niej nie wspomni oprócz jej wychowanki a wnuczki. Kłótnie i spory wzrastają z każdą chwilą, gdyż nie ma testamentu, za którym robią usilne poszukiwania przy pomocy pokątnego doradzcy mizdrzącego się do pięknej wnuczki. Wśród tych kłopotów jeden z mniemanych spadkobierców, zwolennik spirytualiów, szewc z powołania, a pilny czytelnik Kuryerka, stawia wniosek, by magnetyzer *Daj-na-to* (Donato), który może wiedzieć o każdej tajemnicy, powiedział stroskanym spadkobiercom gdzie się znajduje testament. Po żywej dyspucie uchwalono udać się do pana Donato, który mieszka w Hotelu Paryzkim albo pod Nr. 24 albo 84 — decydują się na Nr. 84. A właśnie pod tym numerem mieszka w przejeździe młody i zacny dependent od adwokata, kochający i cieszący się wzajemnością pięknej wnuczki. Od niej dowiaduje się o całym przebiegu sprawy i postanawia odegrać rolę Donata; kolejno schodzą się więc do niego spadkobiercy, on zaś porozumiawszy się poprzednio ze swoją narzeczoną, usypia ją i znany mu testament każe przeczytać rzekomo uśpionej. Z niego się okazuje, że babka zapisała cały majątek swej wnuczce robiąc również legata na rzecz swej familii. W tej ważnej chwili wpada rozgniewany pokątny doradzca i demaskuje mniemanego Donata: zakochana para łączy się, a obecni dostają moralną naukę za swą wiarę i przesądy w rzeczy nadprzyrodzone, jak np. w magnetyzm, wirujące stoliki, kabalarki etc. Zdrowa tendencya, humor czasami zbyt swobodny, żywa akcya w akcie drugim zalecają ten utwór, który rokuje młodemu autorowi powodzenie. Komedyjka ta została odegraną dobrze przez artystów, odznaczyli się p. Gloger w roli szewca i panna Czosnowska w roli sympatycznej wnuczki.

A. G.

KORESPONDENCYA

Z EGIPTU.

Stefana Marusieńskiego.

Doczekaliśmy się nareszcie wiatru z północy, potrzeba go też było bardzo, w ostatnim czasie bowiem gorąco doszło do tego stopnia, że co dnia

prawie kilka a niekiedy kilkanaście osób z krajowców umierało wskutek porażenia od słońca. Śmierć ta przychodzi nadzwyczaj szybko i zabija bez bólu powodując rozkład krwi. Uboższa klasa mieszkańców dostarczyła najwięcej ofiar, będąc bowiem zmuszoną żyć na wolnem powietrzu i nie nosząc przytem prawie żadnego pokrycia głowy, zostaje najwięcej wystawioną na pociski promieni słonecznych.

Z prawdziwą radością tedy powitaliśmy pierwsze podmuchy boreasza zwłaszcza, że równocześnie wody Nilu zaczęły się podnosić, co tu w Egipcie do najważniejszych wypadków krajowych należy.

Wszystkich to obchodzi i interesuje: bogaty i biedny spieszy z równą ciekawością nad brzegi świętej rzeki dla przekonania się naocznie o ile gradów (*) woda od wczoraj się podniosła.

W tym roku wprawdzie podnoszenie to nie jest bardzo znacznem, lecz nadzieja w Bogu, że wody dosięgną jeszcze należytej wysokości do napełnienia kanałów i zalania okolic najdalej od rzeki położonych. Za czasów Faraonów a nawet aż do VII wieku przed Chr. było zwyczajem u Egipcyan, że na dniu 13-ym miesiąca Bauune, ofiarowano Nilowi dla ubłagania dostatecznego wylewu, najpiękniejszą dziewicę w kraju, którą przemocą rodzinie odbierano i przybraną w szaty panny młodej, wśród ogólnej uciechy, przy odgłosie muzyki, do rzeki wtrącano.

Zwyczaj ten trwał jeszcze za czasów chrześciańskich; dopiero po najściu Arabów do Egiptu za panowania Kalifa Omar-ebu-el-Ketab, wezyr tegoż Amru-ebu-el-Aas zniósł ten barbarzyński zwyczaj, i dziś tutejsi mieszkańcy kontentują się jedynie wrzuceniem do Nilu manekina ubranego w szaty kobiece.

Pojmuję dobrze tę zabobonną cześć, jaką starożytni Egipcyanie Nilowi oddawali, bo czemże stałby się cały kraj bez dobroczynnego wylewu tej rzeki? Pustynią bezwątpienia, jak otaczająca go Sahara.

Do dziśdnia nawet uważają Arabowie Nil za świętą rzekę, a woda jej, wyjąwszy czas wylewu, należy do najprzyjemniejszych jakie mi się na świecie pić zdarzyło. Między innemi, tutejsi mieszkańcy powiadają, że „gdyby Mohamed za życia swego był skosztował tej wody, przeniósłby bezwątpienia wieczny pobyt w Egipcie nad wszystkie rozkosze raju". Drugie zaś przysłowie mówi: „Kto raz pił z Nilu, ten już więcej jego brzegów porzucić nie może." Jestem tedy w niemałym kłopocie, co będę robił, gdy przyjdzie czas opuszczenia Egiptu.

Nim to jednak nastąpi donoszę wam, że rozpoczął się tu niedawno święty miesiąc Ramadan, w którym przypada post 30-dniowy, ustanowiony przez Mohameda na pamiątkę nawiedzenia go przez Archanioła Gabryela w górze Ara.

Post ten jest surowo obchodzonym przez Muzułmanów, Koran bowiem nakazuje, ażeby przez cały czas tego miesiąca, od chwili gdy rano można odróżnić czarną nić od białej, aż do zachodu słońca, każdy wierny wstrzymywał się od przyjmowania pokarmu i picia wody; doktorzy Islamu przyłączyli do tego później zakaz palenia tytoniu, i ten ostatni ma podobno najwięcej dokuczać wiernym.

Lecz zato po zachodzie słońca, gdy minarety moszei zabłysną setkami świateł a muezzin czas wieczornej modlitwy oznajmi, bogaty i biedny stary i młody, wszystko co żyje, ciśnie się do bazaru i kawiarń dla zapalenia fajki i wypicia filiżanki kawy.

Bazar tutejszy jakkolwiek niewielki, przedstawia jednak nader ożywiony widok; najwięcej zaś ścisku i hałasu obok handlarzy owoców, przepyszne winogrona, figi, granaty, daktyle i t. p. wszystko zni- ka z koszów i każdy wśród powszechnej radości śpiewając chwałę Ałłaha, śpieszy z zakupionym prowiantem aby go spokojnie w domu spożywać.

Lecz co mnie najwięcej zabawia, to oryginalny sposób w jaki się tu sprzedaż owoców odbywa: kupujący np. po ugodzeniu się o cenę rotola (*) rozkazuje ważyć owoc: szale są lecz funta napróżno szukać; cóż więc kupiec czyni? Oto wyciągając z kosza kawałek cegły lub kamienia, kładzie takowy na szalę i odważa podobną ilość owocu. Rozpoczyna się tedy następujący dyalog:

— Na Ałłaha, ten kamień nie waży rotola, mówi kupujący.

— Jakto nie waży, odpowiada z ferworem handlarz, na twą głowę klnę się, że już przeszło lat 20 jak wszystkim na tę wagę sprzedaję i miałaby być fałszywą! Wierz mi, mój bracie, że kamień ten jeszcze memu ojcu za rotol służył a ty mówisz że dziś stracił na wadze, to niemożebne!

Na ten argument kupca, że rotol sięgający tak odległej starożytności, nie mógł w tym czasie jak tylko zyskać na ciężarze, kupujący najzupełniej przekonany, zabiera owoc i zadowolony opuszcza bazar.

W przypadku zaś, gdy handlarz swego własnego funta nie posiada, bierze pierwszy lepszy kamień z drogi i po obopólnej ugodzie z kupującym, na tę wagę towar sprzedaje.

Lecz nietylko w drobnych rzeczach podobnie pierwotny zwyczaj sprzedawania panuje, płótno i materye np. odmierzają się za pomocą łokcia z ręki, a złoto i srebro bywa ważone na ziarnka chleba świętojańskiego. Przedpotopowe obyczaje, nie ma co mówić!

Wprawdzie mieszkańcy Aleksandryi i Kairu stoją nieco wyżej pod względem oświaty, ciągła bowiem styczność z europejczykami oddziaływa i na nich po trochu, lecz tu w Górnym Egipcie o mil przeszło 100 w głąb' kraju, gdzie obecnie żyję, wpływ europejski redukuje się na zero prawie i z wyjątkiem kilku zamożnych familii Koptów chrześcian, wszystko inne niewiele więcej się różni od dzikich mieszkańców środkowej Afryki.

Kilkanaście stacyi misyjnych rozrzuconych po kraju, przy których OO. Reformaci funkcye misyonarzy spełniają, nie są wprawdzie bez pewnego wpływu na ludność, lecz ciemnota jest tu jeszcze tak wielką, że wieki zapewne upłyną zanim dobroczynne promienie cywilizacyi oświecą umysły tutejszego ludu.

Dopóki jednak sztandar Proroka nad krajem powiewać będzie, dopóty o jakimkolwiek polepszeniu moralnem mowy być nie może. Niech z minaretów moszci zabłyśnie krzyż i wołanie muezzina głos dzwonów zastąpi, wtenczasz zniknie ciemnota i zabobon a światło prawdziwej wiary łagodząc dzikie obyczaje tutejszych mieszkańców, utorują pewną drogę dla cywilizacyi europejskiej.

Najgłówniejszą bowiem przeszkodą dla postępu jest religia mahometańska, która wszelkie nowatorstwa i zwyczaje Frangów za wynalazki złego ducha uważa. Najwięcej ucywilizowany Arab lub Turek, choćby nawet od młodości w Paryżu wychowany, za powrotem między swych współbraci staje się po pewnym czasie o wiele niebezpieczniejszym fanatykiem niż był przedtem. Wychowanie europejskie oszlifowało go poniekąd i na pierwszy rzut oka wziętoby go za człowieka ucywilizowanego, lecz po bliższem pożyciu z nim, z pod owej lekkiej polytury wyglada dawny fanatyzm religijny i nienawiść ku europejczykom.

Dlatego też zadanie tutejszych misyonarzy jest nadzwyczaj trudnem, mają bowiem do walczenia z fanatyzmem, tym największym wrogiem każdej nowej idei. Cóż ci biedacy nie wycierpią tuta! Wielu z nich opłaciło już życiem swe poświęcenie dla tego niewdzięcznego ludu.

Niedawno temu O. Chryzolog, młody Tyrolczyk, mój dobry przyjaciel, zmarł w sile wieku. Nadzwyczajna praca, niewygody i zbyt gorący klimat zabiły go po kilkomiesięcznym pobycie w tym kraju. Drugi, zwalczony klimatem, opuścił temi dniami swą stacyą spiesząc do Włoch dla poratowania nadwątlonego zdrowia.

Któż na przyszłość zastąpi ich miejsce?...

Zarząd propagandy w Rzymie czyni wszystko możebne w tym względzie; uposażono misye, pozakładano bezpłatne szkółki, w których misyonarze z pomocą nauczycieli wszczepiają w młode pokolenia Arabów i Koptów miłość bliźniego i pierwsze zasady wiary Chrystusa, wogóle starano się nadać inny kierunek wychowaniu tutejszej młodzieży.

Lecz muszę wyznać, że wychowańcy szkółek, zapominają zbyt szybko otrzymaną naukę i dobrodziejstwa misyonarzy i nie odwdzięczają się nigdy za takowe.

(*) *Grad* — miara arabska odpowiadająca naszemu calowi.

(*) Waga tutejsza mniejsza nieco od funta.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Mało jest miast mogących pochlubić się tak obywatelską filantropią jak poczciwa nasza Warszawa, tak małe posiadająca środki stosunkowo do ofiar jakie mieszkańcy jej składają na ołtarz ludzkości. Pisma codzienne, w ostatnich szczególniej czasach, ciągle donoszą o szlachetnych ofiarach lub zakładach w celu ulżenia niedoli lub niesienia pomocy chorym. Staraniem szanownego H. Chełmickiego, kilku zacnych lekarzy urządza bezpłatną lecznicę dla biednych chorych, a właściciele wielu aptek zobowiązują się bezpłatnie lub za połowę ceny wydawać lekarstwa; hrabia B. dostarcza funduszu na założenie bezpłatnej lecznicy dla położnic; pewna osoba ma zamiar założenia szwalni dla biednych pracownic igły z zapewnieniem bezpłatnem miejsca do pracy i obiadu; a nareszcie jeden z szanownych obywateli naszego miasta, pan W. Cz. wyraził gotowość wzniesienia własnym kosztem przytułku dla paralityków. Nie dość na tem, pan Cz. przyrzekł zabezpieczyć istnienie zakładu, przeznaczając na ten cel znaczny swój majątek, przeszło 250,000 rs. wynoszący. Projekt ustawy tego przytułku przedstawiony już został do zatwierdzenia właściwej władzy. Bodaj tacy bogacze rodzili się nawet na kamieniu.

+ Skończona już została piękna laska marszałkowska, którą obywatele galicyjscy składają w darze marszałkowi Sejmu. dr. Michałowi Zyblikiewiczowi. Za kilka dni ma się udać do Lwowa deputacya mająca wręczyć panu Marszałkowi to godło wysokiej jego godności. We wszysikich niemal ciałach obradujących, dzwonek stojący na stole

tuż obok prezydującego, jest znamieniem jego władzy; w dawnej Polsce sejmy i sejmiki obradowały pod laską swoich marszałków, która, równie jak buława hetmanów, była oznaką dostojeństwa marszałka. Laska dla marszałka Zyblikiewicza jest dużego rozmiaru; dłuższa niż księcia Leona Sapiehy i hrabiego Władysława Ostrowskiego, równie wielka jak dotąd przechowana jednego z dawnych marszałków sejmowych. Laska ta jest hebanowa, utoczona ośmiokątnie, okuta grubo srebrem, w gałce u spodu i w środku, srebrnemi paskami, przerabianemi misternemi arabeskami złotemi matową robotą; kanty laski rozdzielają złote pręciki, pięknie narysowane i rzeźbione, przypominające włoskie tego rodzaju wyroby. Na gałce mieści się monogram marszałka. Między wyż wspomnianemi opaskami, otaczają laskę dokoła wypukło rzeźbione herby Galicyi i Krakowa, z datami: 1874 i 1881, jako odnoszącemi się do piastowanych w tychże latach godności prezydenta miasta Krakowa i marszałka Sejmu w Galicyi. Pięknej tej ornamentacyi ze srebra i złota, dokonał p. Glikseli, odznaczający się w tego rodzaju wyrobach.

+ Dr. Stanisław Smolka, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, został z wielkiem odznaczeniem przyjęty w Preszowie przez Węgrów. Dnia 29 z. m. odbyła się tam w wielkiej sali domu Komitackiego naukowa konferencya, którą zagaił krótkiem przemówieniem Franciszek Pulszky. Następnie przedstawiony został dr. Smolka, jako przedstawiciel Uniwersytetu Krakowskiego. Burzą oklasków powitano przedstawionego, który prosił aby mu pozwolono podziękować i mówić w języku niemieckim, ponieważ nie zna węgierskiego, a obecni nie umieją po polsku. Najpierw wyraził radość swoją z powodu zbliżenia się Polaków do Węgrów, tak wyraźnie objawionego przez Uniwersytet Jagielloński, przedstawiając zarazem wybornie wymotywowane zbawienne skutki tej naukowej łączności. Następnie poszczególne wydziały przystąpiły do sprawozdań o wyniku badań w archiwach miejskich i rodzinnych w Preszowie, Bardyowie i innych miejscowościach, zawierających niezawodnie wielkie skarby dla polskiego historyka. Posiedzenie zamknięto wśród głośnych okrzyków. Następnie profesor Smolka zwiedził górno-węgierskie muzeum i archiwum miejskie, w którem znalazł wiele dokumentów ważnych pod względem znaczenia politycznego. W magistracie burmistrz przyjmował gościa nader uprzejmie, i zwiastował mu miłą wiadomość iż w roku jeszcze 1861, ojciec jego obrany został honorowym obywatelem miasta Koszyc.

+ Ksiądz biskup krakowski, Albin Dunajewski, zaszczyczony został przez Ojca św. tytułem hrabi państwa rzymskiego, oraz wysoką godnością biskupa-asystenta tronu papiezkiego.

+ W Anglii od niedawnego czasu upowszechniły się t. z. posadzki korkowe, w skład których wchodzi drobno sproszkowane drzewo korkowe, olej lniany i masa będąca dotychczas sekretem wynalazcy, który za wynalazek swój otrzymał długoletni patent. Posadzki przygotowane są w dowolnych grubościach i malowane farbą olejną w różne desenie, a wchodzą w coraz szersze użycie w zakładach publicznych, biurach banków, łazienkach kąpielowych, zakładach leczniczych i t. d.

Posadzka korkowa ma tę wyższość nad zwykłą z drzewa, że jest od niej tańszą, a nadto że nie pozwala zagnieżdżać się robactwu, albowiem przedstawia jednolitą powierzchnię gdy fugi pojedyńczemi taflami, spojone zostaną wynalezionym *ad hoc* i sprzedawanym wraz z temi posadzkami cementem.

Wynalazca oprócz posadzek przygotowywa jeszcze z owej masy chodniki i masy zastępujące dywany.

+ Piszą z Kolonii polskiej Adampol, w Małej Azyi:

Zapewnie mało komu wiadomem jest istnienie tej kolonii, którą zamieszkuje obecnie przeszło 40 rodzin polskich, złożonych z 200 mężczyzn i kobiet. Po roku 1849, nabyto od Lazarystów pewną część należących do nich gruntów, pokrytych lasami, i pozwolono polskim robotnikom bezpłatnie osiedlać się na nich. Z początku mało było ochotników, z powodu że grunt trzeba było karczować, a wychodźcy zazwyczaj nie posiadają potrzebnych na to funduszów, jakoteż na potrzeby początkowego zagospodarowania. Dopiero po wojnie krymskiej liczba osadników znacznie się powiększyła, a byłaby nierównie jeszcze większą, gdyby biedacy wyzuci z sił fizycznych i zasobów materyalnych, byli w stanie dokonać karczunku, budować chaty, obsiać pola, kupić choćby jedną krówkę i przeżyć kilka pierwszych miesięcy.

Kolonia Adampol tylko o parę godzin drogi oddalona jest od Bosforu; grunt jej wynosi się nad poziom morza, lasy otaczają dokoła, wody podostatkiem, przedstawia obraz polskiej wioski. Chaty są tam wygodniejsze i schludniejsze od naszych chat włościańskich i wznoszą się wśród gajów drzew owocowych. Trudności w karczowaniu lasów nie dozwalają osadnikom rozszerzać swych posiadłości i urządzać odpowiednich pastwisk dla trzody chlewnej; dalej lesista okolica utrudnia chów owiec, gdyż tracą wiele wełny na krzakach. Zmuszeni są zatem hodować tylko bydło rogate; krowy dostarczają nabiału, z którego na polski sposób wyrabiają masło i korzystnie sprzedają je w poselstwach.

Materyalny stan osady jest wogóle dość pomyślny, i mógłby podnieść się wysoko gdyby zaprowadzić dobrą i sumiennie sprawowaną administracyą gminy. Jest tam kościołek, do którego od czasu do czasu dojeżdża kapłan z zakonu Lazarystów św. Benedykta, zdaje się Szląząk, niedość wprawnie władający polskim językiem, co niekorzystnie oddziaływa na osadników, potrzebujących ciągłej obecności i wpływu gorliwego dusz pasterza, podtrzymującego słaby charakter wielu z nich. Drugiem złem jest że nie ma wcale szkoły, a dzieci jest dużo i uczyłyby się chętnie. Niedostatkowi temu zaradzał, o ile mu sił starczyło, zmarły d. 25 lutego r. b. ś. p. Biegański, niegdyś kapitan b. wojsk polskich. Od śmierci jego nie ma komu zająć się podrastającą dziatwą polską. Zacny ten, przeszło 80-letni starzec, pomimo coraz większego braku sił, chodził od chaty do chaty, ucząc i krzewiąc oświatę—obecnie nie ma go kto zastąpić. Jeden z rodaków przysyła do osady pisma wielkopolskie: „Niedzielę," „Oświatę" i Gońca," odpowiednie dla starszych ale niezaspokajające potrzeb niedorosłej młodzieży.

Jak ks. Adam tak i spadkobiercy jego nie pobierają żadnych czynszów od osadników, a cała kolonia zostaje pod protekcyą francuzką.

+ Przed kilku dniami odsłonięty został w miasteczku Le Crotoy nad Sommeą, posąg Joanny d'Arc. Dziewica Orleańska przedstawiona jest w postawie siedzącej, z łańcuchami na rękach, jako jeniec Anglików. Znany historyk francuzki, Henryk Martin, senator, oznajmił w przemówieniu przy odsłonięciu pomnika, iż powstała myśl uczczenia bohaterskiej dziewicy przez urządzenie rodzaju „gościńca sławy." Gościniec ten wytknięty będzie jej posągami z Domremy aż do Rouen; Cretoy stanowi niejako pierwszą stacyą. Piękny i oryginalny pomysł!

+ Od lat kilku już żywo zajmują się w Niemczech kwestyą przekopania kanału, mającego połączyć morze Północne z Baltyckiem, co miałoby ważne znaczenie dla Cesarstwa niemieckiego, gdyż tak kupieckie jak i wojenne statki nie potrzebowałyby przepływać dookoła Kattegatu, Szager, Racka i Sudda, ażeby dopłynąć np. z ujść Elby do Lubeki. Lecz chodzi tu o coś ważniejszego jeszcze niż o skrócenie odległości. Jeźliby obecnie Niemcy prowadziły wojnę, a Dania stanęła po stronie ich nieprzyjaciół, mogłaby unieruchomić flotę ich na Baltyku, korzystając z możności swej przecięcia komunikacyi między Baltykiem a morzem Północnem. Tak więc przekopanie kanału jest żywotną kwestyą dla floty niemieckiej. Tylko że wykonanie projektu liczne przedstawia trudności, skutkiem specyalnych warunków, do których stosować się trzeba. Między innemi i k[illegible]zta będą ogromne, których dotąd nawet w przybliżeniu nie obliczono, jednakże rząd nie cofa się przed niemi i roboty wkrótce podobno mają się rozpocząć. Kanał rozpoczynać się ma od ujść Elby pod Glückstadt, a drugim końcem łączyć się z głęboką zatoką przy końcu której znajduje się sławny port Kiel, którego potężne fortyfikacye bronić go będą z jednej strony, a z drugiej nadbrzeżne bateryе wznoszące się na lewym brzegu Elby.

+ Obecnie, co nader rzadko się zdarza, astronomowie obserwują naraz aż trzy komety, za pomocą szkieł swoich. Nie znikły jeszcze z widnokręgu ziemi dwie komety widzialne niedawno gołem okiem, a już pojawiła się trzecia, oczekiwana w tym roku Encke'go. Według sprawozdania strasburskiego astronoma, profesora Winnecke, jest ona widzialną obecnie tylko przez bardzo silne teleskopy. Odkrył ją w r. 1818 astronom Pons, w Marsylii, a Encke, niegdyś dyrektor obserwatorum berlińskiego, pierwszy oznaczył prawidła jej obiegu i obliczył że co trzy i pół roku wracać musi ta kometa w pobliżu ziemi. Kometa Encke'go i z tego względu uważaną jest przez astronomów za osobliwsze ciało niebieskie, ponieważ sprawdzono, że nieustannie traci na sile swego blasku, oraz że coraz mniej potrzebuje czasu do obiegu swego około słońca.

+ Do niektórych redakcyi nadesłano program nowego pisma w języku polskim, mającego wychodzić w Paryżu, p. t. „Kuryer Paryzki". Na programie tym podpisany jest jako wydawca pan A. Reif, właściciel drukarni. Czekamy z ciekawością ukazania się pierwszych numerów, aby poznać w jakim duchu i z jaką dążnością będzie redagowany.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 7 Сентября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

IDA LATIMER.

Przez

RODĘ BROUGHTON.

Przekład

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Pewnego wieczora Burnet siedział jak zwykle nad książką, wsparłszy łokcie na stole, a czoło na rękach tak splecionych z sobą, że tworzyły rodzaj daszku nad jego oczami. Zdawał się tak głęboko zajęty tem co czytał, że nikt nie ośmieliłby się przemówić do niego. Ida siedząca przy nim, przegląda stos broszurek z większem ożywieniem jak zwykle. Miss Burnet drzemie, ale nie śpi jeszcze, jak tego dowodzi głośne jej sapanie, a Ida słucha pomimowolnie, jakby chciała doczekać się chwili w której zacznie oddychać cicho i spokojnie. Ale ta chwila nie nadeszła wcale, bo miss Burnet wstała, i nic nie mówiąc zwróciła się ku drzwiom.

— Odchodzisz, zapytał Burnet z zadziwieniem.

— Jak widzisz, odpowiedziała zimno.

— Idziesz spać?

— Tak.

— Dopiero pół do dziesiątej.

— Czy pół do dziesiątej, czy pół do jedenastej, pójdę spać.

— Ale pani nie czuje się słabą? rzekła Ida grzecznie.

— Dziękuję, bynajmniej!

— Pozostań lepiej z nami do dziesiątej, rzekł Burnet z żywością, opierając rękę na jej ramieniu jakby ją chciał zatrzymać.

— Wybacz że ci odmawiam, ale wolę iść spać, odpowiedziała otwierając drzwi.

Usiadł i zaczął czytać nie nalegając już dłużej.

Ida, która podniosła się także, namyślała się chwilkę nad tem co ma czynić. Czy i ona ma odejść tak wcześnie? Czy on życzy sobie tego? Ale wszakże może pójść do siebie kiedy mu się podoba. Wróciła więc na swoje miejsce, i znów zapanowało milczenie. Zdawałoby się że w ich położeniu nie zaszła żadna zmiana, a jednak jest inne jak było przed chwilą. Wskutek ciągłej obecności między nimi tej istoty zimnej i samolubnej, wyrodził się w ich stosunkach z sobą jakiś przymus i zakłopotanie, które naprożno usiłują przezwyciężyć.

Ida przybrała pomimowolnie takąż samą postawę jak jej towarzysz, i zamyśliła się głęboko. „Gdyby, mówiła w myśli ktoś obcy wszedł do pokoju w tej chwili, co też pomyślałby widząc dwie osoby młode... Ale czy on jest młody?”

Spojrzała na niego chcąc dowiedzieć się z pewnością czy ów obcy uznałby go młodym.

(Musimy tu powiedzieć że ma przeszło dwadzieścia lat mniej od swej przyrodniej siostry.) „Tak, ten ktoś obcy zobaczyłby młodą i piękną parę, siedzącą sam nasam, blizko siebie, przy jednej lampie i przy jednem ognisku, i pomyślałby zapewnie że ją łączą tak silne i słodkie węzły, że nie potrzebuje koniecznie mówić z sobą. Rozmowa jest konieczną między przyjaciółmi lub znajomymi, jeźli znajdują się razem; brat i siostra, mąż i żona mogą, siedząc obok siebie, zachować poufałe i pełne zaniedbania milczenie.”

Zajęta tą myślą, zapomniała że wpatruje się w niego, i wskutek działania tej siły magnetycznej, dającej się czuć osobie w którą się wpatrujemy, Burnet zwrócił na nią oczy tak nagle, że nie zdążyła odwrócić swoich. Zdawało się Idzie że to spojrzenie zdradzało pewną niecierpliwość i żądało jakiegoś objaśnienia.

— Przepraszam! rzekła, muszę... wypada mi usprawiedliwić... moją ciekawość... chciałabym wiedzieć... dla czego pan przed chwilą zatykał uszy palcami?

— Doprawdy! rzekł, zapominając że miało to miejsce najmniej pół godziny temu. — Doprawdy? Więc spostrzegła to pani? Czy pani sądzi że i ona zwróciła na to uwagę?

Mówiąc to spojrzał na fotel w którym siostra jego niedawno siedziała.

— Nie zdaje mi się, odpowiedziała Ida; przez cały czas patrzyła na ogień.

— Jest to złe przyzwyczajenie, z którego muszę się poprawić, mówił dalej trochę zmieszany.

— Co prawda, było to nawet zbytecznem jak na teraz, dodała Ida trochę urażona. Nie mówiłyśmy z sobą; przez całą godzinę nie zamieniłyśmy nawet jednego słowa.

— Pani się myli! zawołał z żywością. Pani nie była tego powodem. Jakże można było pomyśleć coś podobnego? Czem więcej pani mówi, tem więcej jestem zadowolniony, tylko... tylko moja biedna siostra ma nawyknienie... nałóg... to jest, jakiś rodzaj głośnego sapania... prawdę mówiąc, nie tak wielkiego... nie wiem czy pani zwróciła na to uwagę... ale muszę wyznać że mi to przeszkadza, jeżeli chcę czytać coś uważnie. Nie mogę zebrać myśli, i słucham pomimowolnie.

— Pan także? zawołała Ida, a iskierka radości błysnęła w jej pięknych oczach. — Zupełnie jak ja.

Roześmieli się oboje cicho, jakby obawiając się aby ich nie usłyszała osoba o której mówili, i pomimowolnie przysunęli do siebie krzesła.

— A! doprawdy? rzekł prawie wesoło.

Potem nagle twarz jego odzyskała dawny swój wyraz; zdawało się że wyrzuca sobie tę chwilkę zapomnienia. Odsunął znów śpiesznie krzesło; możnaby sądzić że jakiś zimny wiatr przeszedł pomiędzy nimi.

— Dziękuję pani, rzekł swym zwykłym, poważnym tonem, że pani zwróciła moją uwagę na złe nawyknienie, z którego będę się starał poprawić.

Ida nic już nie odpowiedziała, odepchnięta przy pierwszem życzliwszem przemówieniu, czuła się zupełnie zniechęconą. Może zawód jaki ją spotkał po tym wybuchu niewinnej wesołości, był widocznym na jej twarzy, bo uczucie podobne do wyrzutu sumienia, skłoniło go do przedłużenia rozmowy.

— Pani ma dziś wiele zajęcia, rzekł pragnąc powiedzieć cokolwiek, i wskazując na broszurki które przeglądała.

— Są to broszurki wydawane przez Towarzystwo wstrzemięźliwości, odpowiedziała, kładąc niektóre z nich przed nim. Czy pan zajmuje się tem także?

Zaczął czytać tytuły: *Zgubne skutki pijaństwa; Kto chce uniknąć nędzy, niech nie uczęszcza do szynków, i t. d.*

— Ale... nie rozumiem doprawdy... Zapewnie pani nie czyta tego dla swej przyjemności?

Lekki uśmiech przesunął się po jej świeżych ustach.

Nie, odpowiedziała; przeglądam je tylko aby się dowiedzieć które z nich trzeba będzie czytać głośno.

— Czytać? Komu? rzekł zdziwiony, gdyż przyszło mu na myśl że prócz niego i jego siostry nie mogłaby mieć innych słuchaczów.

Uśmiechnęła się znów z wyrazem pewnej wyższości, opierając się na poręczy krzesła.

— Jest to dzieło chrześcijańskiego miłosierdzia, którem zajmuje się bardzo, odpowiedziała; czyli raczej którem zajmowałam się dawniej gorliwie.

Spogląda na nią ciągle z równem zadziwieniem, i jak się zdawało, nie rozumiejąc jej wcale.

— Byłam zawsze tego zdania, mówiła dalej trochę kaznodziejskim tonem, że w naszych czasach jest to najużyteczniejsze dzieło; dzieło, do którego każdy powinien się przyłożyć odpowiednio do sił swoich. W Marlowe zajmowałam się niem szczerze; w każdy dzień targowy odbywały się posiedzenia Towarzystwa wstrzemięźliwości, w celu odciągnięcia fermierów od uczęszczania do karczmy, a ja wraz z memi kuzynkami prezydowałyśmy na nich osobiście. Co niedziela przemawiałam do nałogowych pijaków, przychodziło ich kilkunastu, a byli to ludzie zupełnie młodzi. Tak było przez całą zimę, i żaden z nich nie oddał się powtórnie pijaństwu. Sądzę że i teraz usiłowania moje będą równie skuteczne.

Odkąd się znają, nigdy jeszcze nie mówiła do niego tak długo. Burnet słuchał jej też uważnie, ale ostatnie jej słowa wzbudziły w nim znów zadziwienie.

— Dla czego pani wyraziła się *teraz?* zapytał. Wszakże obecnie pani nie może wpływać na pijaków znajdujących się w Marlowe.

— Bezwątpienia, odpowiedziała, ale pragnę tu czynić toż samo. Za pośrednictwem jednej z moich znajomych, która jest członkiem komitetu dobroczynności w parafii Westminster, najęłam obszerną salę na Pye street, i zamierzam miewać tam odczyty w każdą niedzielę o ósmej wieczorem, dla młodych ludzi oddających się pijaństwu.

Zatrzymała się chwilę, a nie otrzymując odpowiedzi mówiła dalej.

— Zapisałyśmy już trzech pijaków prawie nałogowych, ale to tylko początek, mamy nadzieję że nadal pójdzie nam lepiej.

— Na Pye street!... trzech pijaków!... o ósmej wieczorem!... zawołał z wyrazem głębokiego zdumienia. Czy się to pani przyśniło?

— Czy mi się przyśniło? powtórzyła trochę obrażona, i jakby przebudzona ze swych filantropijnych marzeń. Nie sądziłam aby pan mógł nie pochwalać moich zamiarów?

A ja nie sądziłem że pani posiada tak mało jeszcze znajomości świata, aby mogła przypuścić że nie sprzeciwię się temu, że pozwolę pani uczęszczać, i to jeszcze w nocy, do części miasta będącej siedliskiem największych łotrów w Londynie.

Zbladła trochę i przygryzła usta, słysząc że ją tak bez ceremonii oskarża o brak rozsądku.

— A więc, jeźli zrozumiałam dobrze, odpowiedziała wyniośle, zamierza pan sprzeciwiać się moim zamiarom?

— Bezwątpienia, odpowiedział stanowczo. Jeźli pani przez brak doświadczenia myśli narażać się na zniewagi lub niebezpieczeństwa, uważam sobie za obowiązek nie dozwolić na to.

Mówiąc to, patrzy na nią z wyrazem tak niezłomnego postanowienia, że to oburza dumną i samowolną Idę.

— Sądziłam, rzekła, wychodząc odrazu z rzadką przytomnością umysłu z najkorzystniejszego dla siebie punktu widzenia,—sądziłam że gdy idzie o dobro bliźnich, nie powinny nas powstrzymywać jakieś osobiste względy; ale, gdybym nawet podzielała co do tego, zdanie pana,—powiedziała to z lekkim wyrazem ironii—to wyznaję że obawa pana zdaje mi się nieuzasadnioną. Przyjaciółka moja już od kilku miesięcy uczęszcza do tej części miasta, a nigdy jeszcze nie była wystawioną na te niebezpieczeństwa, których pan zdaje się obawiać dla mnie.

— Doprawdy! Czy to jest osoba równie jak pani młoda i... z podobną powierzchownością?

— Nie... odpowiedziała wahając się; ma pięćdziesiąt lat i... i troszkę ułomna. Ale to nie zmienia rzeczy.

— Przeciwnie, zmienia ją zupełnie, rzekł zimno.

— Nie wiem, czy pan zechce uznać, że zdanie mego wuja, pana Marlowe, było właściwem, ale to pewna że nietylko mi nie przeszkadzał, ale pochwalał moje usiłowania.

— Nie może pani przecie porównywać warunków towarzyszących temu zajęciu w Marlowe, z temi jakieby pani spotkała wśród szumowin cyrkułu Westminster, odrzekł wzruszając ramionami.

— Czy to być może! zawołała z gniewem, aby pan wyrażał się o czemś podobnem z takiem lekceważeniem i z taką pogardą?

— Wybacz pani, ale nie wyraziłem się o jej zamiarach ani z lekceważeniem, ani tem więcej pogardliwie.

— Może pani nie zdaje sobie z tego sprawy, odezwała się gdy ją trochę gniew ominął, jak dalece słowa i ton mowy pana są obrażające.

— Jeżeli tak jest, to bardzo panią przepraszam.

— Tak, rzekła, dziwi mnie to że pan może być przeciwnym tak użytecznemu dziełu, że nie budzi ono w panu żadnego zajęcia; a jednek sądziłam że człowiek taki jak pan, znający wartość podobnych usiłowań, zrozumie jak jest obrażającą ta niechęć jego w udzieleniu mi pomocy.

Siedział ciągle przy stole, wsparłszy na ręku piękne czoło otoczono czarnemi włosami, i wpatrując się w jej oczy, zdawał się oczekiwać aby wypowiedziała całą myśl swoją.

— Nie jesteś pan dla mnie sprawiedliwym—mówiła dalej drżącym głosem, a chwilami niebieskie jej oczy błyszczą oburzeniem. — Zawsze słuchał mnie pan z niedowierzaniem, gdy mówiłam o licznych moich zajęciach w domu. Nie chce pan zrozumieć czem jest życie bezczynne dla osoby posiadającej umysł czynny, ręce zręczne do pracy, i, dzięki Bogu, serce pełne najlepszych chęci. Jeźli ona usiłuje otrząsnąć się z lenistwa dlaczegóż ją zniechęcać szyderskim uśmiechem?

Przestała mówić, i teraz on zadał jej niezbyt miłe dla niej pytanie:

— Czy odczyty dla pijaków w Westminster są jedynym sposobem wyzwolenia się od próżniaczego życia?

Podniosła z żywością głowę.

— Sądzę, rzekła, że w moim wieku wolno mi już wybrać sobie takie zajęcie, jakie uznam za najwłaściwsze. Obiecał mi pan, że co do mojej osoby, opieka pana będzie tylko pozorną; teraz widzę o ile to zapewnienie było prawdziwem.

— Jestem zmuszony, rzekł powściągając się od wybuchu gniewu, wdawać się w czynności pani, ile razy mogłabyś postawić się w położeniu kompromitującem panią. Odpowiedzialność moja trwa do 1-go sierpnia; następnie będzie pani wolno czynić co jej się tylko podoba, a ja z pewnością nie będę jej narzucać mego zdania.

Podał jej lichtarz z zimnym ukłonem, i to zakończyło sprzeczkę.

XVIII.

Jeźli jednak sprzeczka została skończoną, to wywołane przez nią uczucia nie uspokoiły się jednocześnie. Ida rozdrażniona, niespokojna, nie mogła wcale zasnąć; przez całą noc trapiły ją najprzykrzejsze myśli, a łzy płynące z jej oczu skrapiały poduszkę. Dumny jej charakter musiał uledz dumniejszemu jeszcze; powątpiewano o jej rozsądku, litowano się nad jej niedoświadczeniem, zniweczono jej zamiary.

— Nie umiałam powstrzymać się od gniewu, rzekła do siebie, ale bo też trzebaby posiadać anielską cierpliwość aby zachować zimną krew... Jest to człowiek dobry, prawy, zasługujący na szacunek; ale ma ciasny pogląd o rzeczach, poziome uczucia, niewzruszone przesądy. Nie zwraca na to uwagi jak wielkie mamy obowiązki względem ludzkości.

Jednak, pomimo że usiłuje poniżyć go w swem własnem przekonaniu, nie przynosi jej to żadnej ulgi; doznaje jakiegoś gorzkiego uczucia, nie pochodzącego wyłącznie z ran zadanych jej miłości własnej. Zdawałoby się że nie powinnaby dbać tak bardzo o to, czy jej przeciwnik ma o niej dobre czy złe wyobrażenie, i nie raz już powtarzała to sobie, że wszelkie jej usiłowania w celu odzyskania jego szacunku byłyby zupełnie bezużyteczne, lecz jak się to często zdarza, nie zupełnie wierzy w to co mówiła. „Stosunki nasze były już trochę lepsze, rzekła do siebie prawie głośno, teraz wszystko już skończone, wróciliśmy do tego co było z początku.“

Zasnęła dobrze po północy, a nazajutrz wstała z silnym bólem głowy, co jednak nie bardzo ją gniewa, gdyż może korzystając z tego, nie zejść na śniadanie, a wie dobrze iż o pierwszej zejdą się oboje przygotowani do walki; tylko przykro jej że dziś nie może zostać w swym saloniku, gdzie ślusarze naprawiają zamki, i musi przejść do salonu. Wprawdzie miss Burnet nie wchodzi tam rano, będzie więc zupełnie sama; a może też nie nadejdzie nikt z gości!

Zeszła tam wolnym krokiem; głowa bolała ją ciągle; konieczność wyrzeczenia się, jak na teraz, czynniejszego życia, doprowadziła ją do jakiegoś zniechęcenia, odebrała jej zwykłą energię, usiadła też smutna i przygnębiona przed kominkiem, trzymając książkę w ręku.

Wkrótce potem służący przyniósł jej na tacy bilet wizytowy. Przeczytała niedbale. „Franciszek Chaloner.“ Któż to może być? Przez chwilę napróżno się nad tem zastanawiała, potem przypomniała go sobie nagle, a jednocześnie przyszło jej na myśl pierwsze jej spotkanie z Burnet'em, co nie było dla niej zbyt przyjemne:

— Pan Franciszek Chaloner, powtórzyła z roztargnieniem czy?...

Zanim zdołał dokończyć, ujrzała przed sobą wysoką postać i bladą twarz sentymentalnego artysty a zarazem poety.

— Przychodzę wcześnie, rzekł smętnym tonem, może zawcześnie? Czy pani przeszkadzam? Czy mam odejść?

— Bynajmniej, odpowiedziała z nerwowym śmiechem, usiłując otrząsnąć się ze wspomnień które w niej budził swem nagłem ukazaniem i omdlewającym głosem; nie mam obecnie żadnego zajęcia, ja tu zawsze próżnuję.

— Jakiż to szkaradny salon! zawołał z pewnym rodzajem obrzydzenia.

Story były podniesione, mógł więc widzieć dokładnie dywany w wielkie, jaskrawe desenie, firanki niebieskie, ciężkie i kosztowne meble, systematycznie ustawione.

— Nie podobał się panu? odpowiedziała zimno Ida. Mnie zdaje się dość ładny. Spotykając wszędzie same wyblakłe kolory, można patrzyć w końcu z przyjemnością na czerwone i szmaragdowe.

Nie zwracając uwagi na jej słowa, spogląda w koło melancholicznym wzrokiem.

— Jakież to szkaradne! Jakiż to styl! mówił półgłosem. Mówiono mi wprawdzie że wszystko co panią otacza, jest niemiłe, pozbawione poezyi, pospolite, ale nie przypuszczałem aby mogło być tak rażącem.

— Powtarzam panu że podoba mi się takie jakiem jest; jest to nowość która mi przypada do gustu.

Uśmiechnął się smętnie. — Czy mogę tu usiąść? zapytał, stawiając przy jej nogach mały taborecik, i siadając twarzą do kominka, aby nie patrzyć na tak szkaradne w jego oczach umeblowanie, co jednak nie zdało mu się na nic, gdyż odbijało się w lustrze wiszącem naprzeciwko niego. — Przyniosłem pani kilka strofek świeżych i tkliwych jak *Frühlings grüss*, mówił dalej, odrzucając z czoła długie jasne włosy. Chciałem je pani przeczytać, ale nie wiem czy w tym salonie będzie to dla mnie możliwem.

— Dla czego?

— O! bo trzebaby ich słuchać przy słodkich dźwiękach gitary, wśród unoszącej się w powietrzu woni kwiatów, zatrzymując jednocześnie wzrok na urnach z porfiru lub różowego marmuru.

— W takim razie ma pan słuszność że ten salon nie byłby odpowiednim, rzekła Ida, z trochę szyderskim uśmiechem, spoglądając na szeregi krzeseł i pokryte gazą świeczniczki.

— Jednak sprobuję, jeźli pani pozwoli, odezwał się z przytłumionym westchnieniem, wyjmując z kieszeni ćwiartkę papieru woniejącą różami.

— Czy to długie wiersze? zapytała Ida rzucając wzrokiem na zegar.

— Sądzę że pani podoba się zwrotka powtarzająca się po każdej strofie, rzekł nie odpowiadając na jej pytanie, i rumieniąc się lekko.

— Doprawdy! rzekła z roztargnieniem, jakaż to zwrotka?

Zaczął deklamować trochę drżącym głosem:

O! słodkie, chorobliwe, blado modre oczy!

— *Chorobliwe!* zawołała Ida. Dla czego *chorobliwe?* Nie podoba mi się to wyrażenie.

— Dla czego? powtórzył z wyrazem głębokiego przekonania, bo nie ma nic piękniejszego nad chorobę. Perła przewyższa pięknością wszystkie inne klejnoty, dla tego że jest wynikiem choroby.

Zsunął się z taboretu na dywan, i teraz już tylko łokciem opiera się na nim, a bladą twarz zwraca ku niej. Zanim miała czas odpowiedzieć, ktoś śmiało poruszył klamką, otworzono drzwi i Burnet wszedł do salonu. W pierwszej chwili nie dostrzegła żadnej zmiany na jego twarzy, była równie poważną i zamyśloną jak zawsze; ale gdy niespodziewanie spostrzegł młodego człowieka leżącego u jej nóg w pełnej zaniedbania postawie, wyraz jego fizyognomii zmienił się nagle.

— Przepraszam! rzekł ostro, myślałem że tu znajdę moją siostrę.

Powiedziawszy to zawrócił się prędko, i chciał wyjść.

— Jest... przyjdzie zaraz.. zawołała Ida nie wiedząc sama co mówi.

Wstała z żywością chcąc go zatrzymać, i dogoniła już przy schodach.

— Wróć się pan, proszę, rzekła oddychając z trudnością, chciałam panu przedstawić pana Chaloner, *mego znajomego*, dodała z przyciskiem.

— Z największą przyjemnością, skoro pani życzy sobie tego, odpowiedział, ale głos jego był równie ostry i zimny, jak spojrzenie które utkwił w jej ślicznej i silnie zarumienionej twarzyczce.

Wrócił z nią do salonu, a zaledwie przedstawiła ich sobie wzajemnie, zadzwoniono na śniadanie.

— Może pan zechce zjeść z nami śniadanie? odezwał się Burnet z zimną grzecznością.

Chaloner zadrżał lekko, posłyszawszy silny i czysty głos Burnet'a, i spojrzawszy na jego twarz charakterystyczną i poważną:

— Dziękuję panu, odpowiedział; jakiś owoc lub kilka kropli syropu, to całe moje śniadanie.

Potem dodał zwracając się do Idy, i żegnając ją długiem melancholicznem spojrzeniem, dodał:

— Były to dla mnie nieocenione chwile: *Auf wiedersehen!*

Odszedł, a gdy już zasiedli do śniadania, miss Burnet odezwała się patrząc na Idę której policzki pokrywał żywy rumieniec:

— Mówiono mi że cię głowa bardzo boli, ale doprawdy nie znać tego!

— Trudno pojąć dla czego, ale to pewno że miss Burnet nie lubi aby ktoś prócz niej, uskarżał się na jakiebądź cierpienie, i powątpiewa zawsze aby tak było rzeczywiście.

— Miałam w istocie silny ból głowy, a mogłabym go dostać będąc nawet zupełnie zdrową, po takim jak dziś poranku, odpowiedziała spoglądając niespokojnie na Burnet'a.

Mówiła to śmiejąc się, ale był to śmiech nerwowy, i nie wywołał żadnego uśmiechu. Miss Burnet śmiała się rzadko, i to tylko jeźli sama powiedziała żart jakiś. Brat jej siedział poważny i milczący, nie podnosząc oczu od talerza.

— Ty zaś Janie, rzekła zwracając się do brata, ze swą nielitościwą szczerością, jesteś żółty jak cytryna, jak zresztą wszyscy pijący samą tylko wodę. Żołądek ich musi się zepsuć prędzej czy później... a ty jeszcze nie byłeś do tego przyzwyczajonym od dzieciństwa, kto zaczyna tak późno, to...

— Ah! zawołał z najżywszą niecierpliwością, mogłabyś też mówić o czemś więcej zajmującem nad to co ja piję a czego nie piję!

Kończąc te słowa odsunął krzesło, i spojrzawszy z gniewem na siostrę, wyszedł z pokoju bez ceremonii. Miss Burnet patrzyła na niego z zadziwieniem dowodzącym Idzie że podobne wybuchy trafiają się bardzo rzadko, i przez kilka chwil nie mogła przemówić ani słowa. Nakoniec odezwała się potrząsając głową:

— Jest to dowód że wątroba już zaatakowana. Byłam pewna że przyjdzie do tego.

— Czy to być może! rzekła Ida zniżonym głosem, czy zrozumiałam dobrze iż pan Burnet pije samą tylko wodę wskutek przyjętej zasady... zobowiązania się...

— Zasady! zobowiązania! powtórzyła mistress Burnet pogardliwym tonem. Chciałabym wiedzieć ilu pijaków poprawi się przez to, że mój brat psuje sobie żołądek, pozbawiając się dobrowolnie dwóch kieliszeczków sherry!

— Gdyby wszyscy trzymali się podobnej zasady, odezwała się Ida trochę kaznodziejskim tonem, przestałyby istnieć wszelkie osobiste usiłowania o dobro...

— I tak właśnie byłoby najlepiej! odpowiedziała szorstko miss Burnet.

Po ustach miss Latimer przesunął się trochę ironiczny uśmiech.

— Nie widzę potrzeby, mówiła dalej cierpko miss Burnet, aby człowiek taki jak John, posiadający setki pacyentów, nie mający chwili odpoczynku, pracujący cały dzień a często i całą noc, napełniał sobie jeszcze głowę jakiemiś towarzystwami wstrzemięźliwości i innemi tym podobnemi niedorzecznościami.

— Czy on tak czyni naprawdę? zawołała z żywością Ida, zwracając błyszczące ciekawością oczy na twarz swej towarzyszki.

— *Tak czyni naprawdę!* powtórzyła miss Burnet, śmiejąc się cierpko.

Wstała z krzesła i wyszła z pokoju.

XIX.

— Gęsta żółta mgła roztoczyła się nad miastem; zapalono gaz trzy godziny wcześniej jak zwykle, a Ida nie wyjechała nigdzie z domu. Dziś jednak nie pozostała samotnie w swoim saloniku, ale przeciwnie zeszła wcześniej do miss Burnet. Jeźli uczyniła to aby dowiedzieć się czegoś więcej o tem co je zajmowało przy śniadaniu, to nie bardzo jej się powiodło.

Miss Burnet nie miała ochoty mówić, a gdy jest w takiem usposobieniu, nie ma siły któraby ją mogła zmusić do przerwania milczenia; jak z drugiej strony, skoro raz rozpocznie rozmowę, trudno byłoby ją skłonić aby zamilkła. Po długich usiłowaniach, miss Latimer tyle tylko mogła się dorozumieć z odpowiedzi swej zadąsanej towarzyszki, że jakkolwiek doktor Burnet nie mógł z powodu swych obowiązkowych zajęć, brać czynnego udziału w różnych dziełach filantropijnych, to jednak zajmuje się niemi gorliwie, zachęca do nich swoim przykładem, nie odmawia nigdy swej pomocy, słowem że niesłusznie posądziła go o zimną obojętność pod tym względem.

W godzinie obiadowej schodziła wolno ze schodów, z pochyloną głową, myśląc o nim i wyrzucając sobie swą niesprawiedliwość, gdy nagle spotkała się z nim w sieni, przed drzwiami do salonu. Biegł po schodach przeskakując po dwa stopnie, i minął się z nią z lekkim ukłonem i przymuszonym uśmiechem, lecz Ida obawiając się aby jej nie uciekł, jak to czynił zwykle, skinęła na niego ręką aby się zatrzymał.

— Czy pan się bardzo spieszy? zapytała nieśmiało. Chciałabym powiedzieć tylko parę słówek.

— Muszę się zawsze spieszyć, na nieszczęście, odpowiedział może łagodniejszym tonem niż sobie życzył, ale pomimo to jestem na pani usługi.

— Nie ma w tem nic tak ważnego, odezwała się znów o ile mogła najchłodniej... tylko nie mogłabym się uspokoić dopóki nie miałabym sposobności przeproszenia pana... że z powodu naszej wczorajszej rozmowy powzięłam o nim tak mylne przekonanie.

Patrzył na tę wdzięczną postać upokarzającą się przed nim, i milczał obawiając się zdradzić wrażenia jakie wywierała na nim ta śliczna twarzyczka zwrócona ku niemu prawie błagalnie; ona zaś widziała w tem milczeniu dowód nieprzezwyciężonej niechęci.

— Czy już nigdy nie potrafimy oddać sobie wzajemnie sprawiedliwości? zawołała z wyrazem zniechęcenia. Czy nigdy nie będziemy się widzieć takiemi jak jesteśmy rzeczywiście?

— Pani chciała prosić mnie o przebaczenie, rzekł lekko wzruszonym głosem; ja także szukałem pani w tym samym celu. Dla tego właśnie wszedłem dziś rano do salonu, ale... dodał zimno, ale pani nie była tam sama.

— Jakto! zawołała z radością której nie starała się nawet ukryć; chciał mnie pan przeprosić? za co?

— Ponieważ mówiłem do pani w sposób niewłaściwy, tak jak nie miałem prawa... pomimo że w zasadzie miałem zupełną słuszność.

— Ja także utrzymuję że miałam słuszność w zasadzie. Nie umiem, jak panu wiadomo, tak bardzo panować nad sobą,—mówiąc to pochyliła trochę głowę,—dla tego też nie okazałam się wczoraj zbyt grzeczną i wyrozumiałą, jednak sądzę że miałam słuszność chcąc znaleźć sobie jakieś użyteczne zajęcie. Gdyby pan wiedział!... ale pan właśnie nie może mieć o tem wyobrażenia!... gdyby pan wiedział jak czas zdaje się długim temu kto nie ma nic do roboty!

— Tak, odpowiedział poważnie i łagodnie, pojmuję to że czas smutno tu pani upływa, ale teraz nie potrwa to już długo!

— To prawda! powiedziała zimno.

— Sądzę także iż pani będzie starała się uprzyjemnić sobie czas przyjmując u siebie jak najwięcej swych przyjaciół. Wyrzucam sobie tylko że może nie byłem dość grzecznym dla tego którego zastałem dziś u pani. Zechciej pani przedstawić mu że to było pomimowolne.

— Wszakże mówiłam już panu że pan Chaloner nie jest moim przyjacielem, odpowiedziała trochę niecierpliwie; ale skoro pan chce koniecznie zachować to przekonanie...

— Nie! nie! odpowiedział z uśmiechem, tylko wnosiłem to z jego... postawy.

Uśmiechnęła się i zarumieniła jednocześnie.

— Rzeczywiście, łatwo się było pomylić. Ale skoro porozumieliśmy się już zupełnie...

Spojrzał na nią zadziwiony tem jej zapatrywaniem na rzeczy.

— Wróćmy, mówiła dalej, do zajmującego nas przedmiotu. Widzi pan że jestem wytrwała i nie zrażam się tak łatwo przeciwnościami... Jestem pewną że gdyby pan chciał tylko, to mógłby mi łatwo znaleźć jakieś zajęcie.

— Tak, sądzę że mógłbym, rzekł przebiegając całą jej postać kształtną, wysmukłą ale niewątłą, mógłbym z pewnością; ale jakież to ma być zajęcie?

— Każde! zawołała z żywością; nie jestem wybredną! Podejmę się chętnie wszystkiego czemu tylko podołają te ręce i ta głowa, dodała wyciągając ręce i wskazując czoło, a twarz jej rozjaśniła się i oczy błysnęły ogniem.

Widać że jej zapał był zaraźliwym, gdyż Burnet odpowiedział:

— Dobrze, zobaczymy!

— A więc umowa zawarta! zawołała radośnie. Pomówimy jeszcze o tem dziś wieczorem... Nie, nie chcę słyszeć żadnego *ale*, i zatrzymywać pana dłużej, wiedząc że się pan śpieszy. Do widzenia!

Pożegnała go pełnem wdzięku i przyjaznem skinieniem głowy, i pobiegła do sali jadalnej. Cała jej istota zdawała się przeistoczoną; głowa przestała ją boleć a serce bije radośnie. Przedstawia sobie zawczasu jak przepędzi zbliżający się wieczór. Miss Burnet pójdzie wcześnie spać i pozostaną sami, ale jakże to sam na sam będzie odmienne od wczorajszego! Zadzwoniono na obiad. Siadając do stołu spostrzegła ze smutnem zadziwieniem że

nakryto tylko na dwie osoby. Dopiero przy drugiej potrawie znalazła dość siły aby spokojnie zadać pytanie, które ciągle miała na ustach:

— Doktor Burnet nie przyjdzie?

— Tak, proszono go na obiad, odpowiedziała krótko jego siostra.

W kilka minut dopiero, jakby dla wynagrodzenia Idy za to że nie zadawała jej więcej pytań, czego znieść nie może, dodała:

— Jest dziś na obiedzie u twoich przyjaciół; sądziłam że ci to powiedział.

— U moich przyjaciół! powtórzyła Ida; u kogoż to?

— Zapominam zawsze nazwisk, odpowiedziała miss Burnet z miną osoby niechcącej sobie trudzić głowy tak błahą rzeczą; ale wyobrażam sobie że to twoje przyjaciółki, wnosząc z tego że na wyścigi obsypywały cię czułościami, będąc u nas na śniadaniu.

— Tarltonowie? zawołała Ida z takim wyrazem jakby nie mogła temu uwierzyć!

— Tak, oni właśnie.

— Ale... nie wiedziałam... nie sądziłam... że znajomość zawiązała się tak prędko, odezwała się Ida tonem zdradzającym pomimo jej woli pewne niezadowolnienie.

— Ha! wszakże sama poznajomiłaś ich z sobą, odpowiedziała cierpko miss Burnet. Musiał spóźnić się bardzo, bo nie widziałam jeszcze aby się kiedy tak śpieszył. Wyglądał tak jakby odchodził od zmysłów, z powodu że go ktoś zatrzymał.

— Wszystko mi się zdaje że to ja dopuściłam się tego przewinienia, rzekła Ida z wymuszonym śmiechem. Miałam do niego interes i zatrzymałam go chwilkę na schodach.

— No, i nic ci nie powiedział? Po co te wszystkie tajemnice? Nie mogę znieść wszelkich tajemnic!

Zamilkły obie, a Ida tak się zamyśliła że zapomniała nawet o jedzeniu. Nie mogła już zataić przed sobą że ją coś ku niemu pociąga, a jednocześnie wyrzuca sobie że to uczucie jest bardzo samolubne, skoro nie cieszy się z tego że po dniu tak nużącym znajdzie chwilkę spoczynku i rozrywki przy osobie która podobała mu się, jak widać. I wtenczas przedstawia go sobie w myśli spędzającego wieczór obok Zofii i rozmawiającego z nią wesoło.

— Może powiedział pani także czy na tym obiedzie ma być więcej obcych osób, czy tylko domowe? zapytała jakby nagle ze snu przebudzona.

— O kim mówisz? A! o Janie... Zapomniałam już o czem mówiłyśmy z sobą. Nie powiedział mi tego. Prosiłam go tylko aby wracając szedł cicho po schodach, ponieważ nie ma dla mnie nic nieznośniejszego nad to gdy jestem przebudzoną z pierwszego snu.

XX.

Począwszy od tego czasu aż do maja, tego miesiąca tak zachwycającego, ale tylko w opisach poetów,—Ida miała niekiedy chwile przyjemne, pomimo że powietrze było zimne i posępne. Nakoniec zaczął się zbliżać czerwiec, wraz z nim dni ciepłe, a na skwerach bzy i szczodrzenica, pokryły się kiściami swych ślicznych kwiatów. Domy wyglądają czyściej, na balkonach ukazują się żardinierki, i tylko prawdziwi miłośnicy wsi tęsknią za barankami igrającemi na pastwisku, i za śpiewem ptaków.

Po południu słońce przyświeca wesoło spacerującym w parku, zatrzymuje się na jasnych parasolikach, połyskuje na ozdobnej uprzęży koni. Przed drzwiami pierwszorzędnych sklepów i magazynów stoją szeregi powozów i znudzonych lokai; w mieście ludno, sezon ożywiony aż do szału. Nawet Ida, pomimo że nie miała zamiaru brać udziału w zabawach, otrzymuje mnóstwo zaproszeń. Radaby uwierzyć że jest poszukiwaną dla siebie samej, bezinteresownie, ale niepodobno jej nie dostrzedz, że tak młodzi panowie jak ich mamy i siostry, są teraz dla niej daleko grzeczniejsi i więcej nadskakujący jak przedtem. Jednak czas nie upływa jej na samych tylko zabawach; Burnet dotrzymał słowa i znalazł dla niej zajęcie.

Była obowiązaną zbierać o ile można najdokładniejsze wiadomości o biednych, którym Burnet udzielał darmo rady, codzień od dziewiątej do dziesiątej rano. Ale to nie wszystko jeszcze. Posiadając wielki majątek mogła brać czynny udział w wielu miłosiernych uczynkach, i dawać pieniądze na cele dobroczynne, tylko że pod tym względem musiała stosować się do jego rady. Szlachetna i szczodrobliwa z natury, a przy tem nieznająca dobrze wartości pieniędzy, odpowiadałaby przychylnie na wszystkie żądania, gdyby nie opierał się temu. Tak więc jeźli jej oddał przysługę, to i ona także była mu użyteczną, i uważała to sobie za chlubę. Wszakże to ona zanosi kwiaty jego chorym w szpitalu? wszakże ona czyta Shakespearea przychodzącym do zdrowia? wszakże nakoniec, ona przyjmuje tak uprzejmie jego uczniów ulubionych, skoro zaprosi ich na obiad do siebie? Raz nawet o mało jej nie powiedział że jest jego prawą ręką; a jakkolwiek słowa zatrzymały się na jego ustach odgadła je w jego pomyśli, i nigdy ich nie zapomni.

Jest to jednak tylko piękna strona medalu; zobaczmy teraz drugą. Nie możemy zataić że ich pierwsza sprzeczka z powodu filantropijnych zamiarów Idy, nie była ostatnią; powtarzały się one nie raz, równie namiętne, równie dotkliwe dla obojga. Ida występuje w obronie zasady, Burnet w obronie zdrowego rozsądku, i w końcu oboje zapalają się gniewem. Ida, na mocy zasady, chce się uważać wyższą nad przyjęte w świecie przepisy, jeździć sama omnibusem lub statkiem, i tym sposobem stawia się nie raz w dwuznacznem położeniu, nie przypuszczając aby w tem mogło być coś złego, a wtenczas Burnet korzystając ze swej tymczasowej władzy, musi jej tego zabronić. Nie dość na tem, mistress Latimer odrzuca uporczywie wszystkie zdarzające jej się partye; już czterech starających się o jej rękę otrzymało stanowczą odprawę. Najstalszym i najnudniejszym z jej wielbicieli był pan Chaloner; musiała wysłuchać jego *Frülings griiss* od początku aż do końca, i wtenczas domyśliła się z najżywszem niezadowolnieniem, że wspomniane tam *chorobliwe, blado modre oczy* miały przedstawiać jej własne zdrowe, błękitne i pełne blasku oczy. Poeta odwiedzał ją często przed południem przezwyciężając swój wstręd do salonu Burnet'a, którego jaskrawe dywany i meble tak raziły jego oczy.

Nieszczęściem, często w takim razie, Burnet wchodził niespodziewanie i zastawał go siedzącego przy nogach Idy. Pomimo że wyśmiewała się z niego zwykle, spojrzenia i wyraz twarzy opiekuna kazały jej się domyślać że jest przez niego posądzaną o zachęcanie i ośmielanie tego biedaka do tak częstych wizyt, że nabrał o niej jeszcze gorszego wyobrażenia jak dawniej, i że uważa ją za kokietkę.

To odkrycie wycisnęło jej wiele łez gorzkich, i nie raz w ciągu bezsennych nocy zadawała sobie pytanie, czy to oskarżenie nie było poniekąd uzasadnione, czy nie starała się niekiedy skazać innych na też same cierpienia jakich, doznawała: na cierpienia niewzajemnej miłości. Bo dziś dumne jej serce należało wyłącznie do człowieka którego pięć miesięcy temu obarczała swą pogardą i znieważającemi posądzeniami, a on to serce odtrącał.

Mogła dokładnie zbadać jego charakter przez te czternaście tygodni, które upłynęły tak prędko. Poznała jego wady i przymioty lepiej niż swoje własne. Miała sposobność ocenić siłę jego charakteru, wytrwałość, zdrowy sąd o rzeczach, miłość dla bliźnich. Była świadkiem walk które staczał ze swą popędliwością, nawet gdy był najwięcej znużony. Podziwiała jego cierpliwość w postępowaniu z siostrą, jego przywiązanie do niej, którego nie umiała nawet ocenić, tak chętne wyrzeczenie się dla niej swych własnych upodobań, równie w małych jak i ważniejszych rzeczach, nakoniec pobłażliwość z jaką nietylko stosuje się do jej woli, ale nawet znosi jej kaprysy.

Nadszedł koniec maja, i może było to lepiej dla Idy—jakkolwiek nie podzielała tego zdania—że zaproszenia spadające na nich gradem w tym czasie, przerwały jej częstsze teraz sam na sam z opiekunem, wieczorem po herbacie. Pewnego dnia Ida miała być na proszonym obiedzie z jedną ze swych znajomych, i wsiadając do powozu usłyszała że Burnet kazał jechać swemu stangretowi do Tarlton'ów. Wiedziała że Tarlton'owie, którzy zajęli w Londynie mieszkanie na cały ten sezon, wydawali wieczór muzykalny, na który ona także była zaproszoną; smutna i zniechęcona, nie miała ochoty patrzyć na ich przyjazne i prawie poufałe stosunki z Burnet'em, że jednak nie mogłaby im wskazać prawdziwych powodów swej odmowy, uległa ich prośbom, i około jedenastej weszła do ich salonu, w którym zastała już mnóstwo osób. Jakiś młody poeta, w nieszczęsnej dla siebie chwili, obiecał przeczytać poemat napisany w dyalekcie Dorsetshire i stojąc za szeregiem świec, oddzielającym go od słuchaczy, ciągle zaczynał i przestawał czytać, zagłuszany szmerem wywoływanym przez gości wchodzących do sali; tak że w końcu nikt nie umiałby powiedzieć czy wydeklamował wiele więcej nad sam tytuł. Przynajmniej Ida to tylko słyszała.

Po nim wystąpił znany śpiewak, ale tego już słuchano uważnie, jak Anglicy zwykli słuchać artystów którym trzeba drogo płacić.

Ida tymczasem szukała oczyma jedynej osoby która ją obchodziła w tem tak licznem towarzystwie, i znalazła ją nakoniec w przyległym pokoju, zdala od tłumu otaczającego śpiewaka i jakieś książątko, będące lwem tego wieczoru. Zobaczyła Zofię ożywioną, rozpromienioną, z silnym rumieńcem na twarzy, Burnet'a nie mogła widzieć tak dobrze, gdyż zasłaniały jej go inne osoby, ale wszakże to on pochylił głowę i słucha paplania swej towarzyszki. Gdy tak cała jej uwaga była zajęta tym przykrem dla niej widokiem, zbliżyła się do niej Anna, także w kwaśnym humorze, z powodu że dziś nie zdobyła sobie jeszcze żadnego wielbiciela, i zaczęła się uskarżać na gorąco i nudy nieodstępne od podobnych wieczorów; a potem dodała:

— Jakże ci się dziś wydaje Zofia?

— Jak mi się wydaje Zofia? powtórzyła Ida niespodziewająca się podobnego pytania; no!... równie źle jak zawsze.

— Podzielam zupełnie twoje zdanie, zawołała z żywością Anna. Umiesz zawsze wyrazić się trafnie. Różne rzeczy roją się jej teraz w głowie, i wyobraża sobie że ma bardzo wiele rozumu i dowcipu.

— A tymczasem nie posiada go wcale, zawołała Ida. *(D. c. n.)*

Dodatek nadzwyczajny do N. 39 Tygodnika Mód.

Opis do N-ru 38.

(Dokończenie.)

N. 35. Ubranie ranne formą princesse.

Suknia przez całą długość przodu zapinana na guziczki, odrobiona była z satynki w rzucik kolorowy. Przemarszczane ubranie dodaje się oddzielnie na gładkich przodach. Plisowanie u dołu na spódnicy ma 8 a wzdłuż przodów 5 cent. szerokości, pod to ostatnie dodana koronka 5 c. szeroka. Rękawy szerokie zmarszczone w górze poniżej zgięcia łokcia przemarszczane są na luźny mankiet, u dołu i z boku na szwie garnirowany plisowaniem. Do wód lub wyjścia na spacer, czepeczek zastępuje kapelusz z tego co negliż materyału.

Opis do N-ru 39.

N. 1. Kapelusz „Carmen".

Rondko z przodu 10 cent. szerokie, z tyłu wązkie, pokryte jest koronką wyszywaną dżetem, do której deseń stosowny, równie jak na denko i do wyszycia koronki 20 cent. szerokiej służącej do ubrania kapelusza, dobrać można w N. 35 na ryc. 4 i fig. 67—69 na arkuszu z krojami. Koronka lekko koło główki przewinięta i na rondko spadająca, przepięta jest nizko z boku agrafką naśladującą egipskie ozdoby, a w środku na kapeluszu otacza i przysłania trochę duży bukiet z róż żółtych. Szarfy ze wstążki atłasowej 8 cent. szerokiej.

N. 2 i 43. Kapelusz „Jolie femme".

Przy zgrabnym fasonie i zręcznem upięciu, piękność modelu podanego na ryc. 2 i 43 podnosiło śliczne cieniowanie przechodzące od jasno-złotego aż do ciemno-bronzowego koloru. Na podszewce z jasno-bronzowego atłasu, cały kapelusz pokryty jest tiulem jedwabnym łączącym całą gammę wyż wzmiankowanych cieni, któren po dwójnie złożony i w bufki przemarszczany jest na rondku i główce, podług ryc. 2 i 43. Od spodu rondko jest podgarnirowane podwójną riuszą z koronki, a z brzegu ozdobione w równych odstępach naszywanemi, guziczkami stalowemi. Takiemiż agrafkami w kształcie podkowy, przepięte są 10 cent. szerokie bronzowe szarfy do wiązania i duża kokarda z pod której spada na kark długi bukiet z róż herbacianych i akacyi.

N. 3. Kapelusz słomkowy marynarski dla małego chłopczyka.

Odróżnia się od zwykle używanych tem, że ma rondko 9 cent. szerokie, podszyte szafirowym aksamitem, a główkę tylko 6 cent. wysoką; ta ostatnia opasana jest szeroką, niebieską wstążką.

N. 4. Kapelusik kabryolet dla małej dziewczynki.

Słomkowy kapelusik z szerokiem w górę podniesionem rondkiem, podszyty był i ubrany blado-niebieskim atłasem. Nad czołem suta riusza z koronki 3 cent. szerokiej, którą oszyte są także końce kokard.

N. 5. Okrągły kapelusz dla małej dziewczynki.

Koło okrągłej główki białego pluszowego kapelusza, przewinięty jest lekko skośny kawałek paljowego surah, przepiętego z boku klamrą, a w środku pomponami paljowemi.

N. 6. Ubranie spacerowe z chusteczką.

Przód sukni ubrany jest 35 cent. szerokiemi plisowanemi falbanami, naprzemian z draperyami szalowemi, oszytemi 7 cent. szeroką koronką. Dolny wolant naszyty jest w koło na spódnicy, a nad nim upięta z tyłu draperya z prostego bryta. Stanik z przodu bawetowo zakończony, z tyłu na haftki zapinany, ma przy pleckach baskinę fałdowaną. Ozdobę stanika stanowi koronką oszyta, w fałdy ułożona chusteczka, która jednym końcem zaczyna się z przodu pod górną rozetą, drugim przechodzi skośnie przez stanik, a na wcięciu w pasie zakończona jest drugą rozetą.

N. 7 i 26. Ubranie z tuniką fartuszkową dla małej panienki.

Do sukienki w kratę formą princesse, dodana jest z materyału gładkiego długa fartuszkowa tunika, z tyłu na guziczki zapinana, którą podajemy z tyłu oddzielnie, na ryc. 26. Jest ona paskiem przepasana, z boków od wykroju pachy, na 35 cent. długości niezeszyta, niżej przyfałdowana a z tyłu podpinana. Garniruneek stanowi falbanka gładka lub haftowana.

N. 8. Fartuszek do zabaw na otwartem powietrzu.

Fartuszek z tyłu na guziczki zapinany, ochraniający sukienkę przy grach na tarasie lub murawie, kraje się podług zwykłej formy princesse z płótna kolorowego, dodając trochę na przemarszczanie stanika, które z przódu zastępuje zaszewki. Na środku z przodu dodana jest oryginalna duża kieszeń, równie jak i stanik przemarszczana. Garnirunek stanowią falbanki 6 cent. szerokie, kolorowo haftowane w maszynie.

N. 9 i 27 oraz ryc. 16 w N. 38. Suknia ze stanikiem z baskiną i z draperyą na spódnicy.

Na ryc. 9 i 27 podajemy z przodu i z tyłu, z odmiennemi garnirunkami, suknię z sutą draperyą, którą robić można z materyału gładkiego lub deseniowego. Model i miary draperyi tunikowej daliśmy na ryc. 16 w N. 38. Falbanki z materyału sukni, i koronki różnej szerokości, służą do przystrojenia sukni ryc. 9, zaś na ryc. 27 garnirunek stanowią falbanki haftowane kolorowo w maszynie i plisowania. Staniki są skośnie zapinane, kokardy z wstążki kolorowej w atlasie. Draperyę z przodu daje się tylko z jednej strony, z drugiego boku wprost na spódnicy naszywa się garnirunek, widoczny na ryc. 27. Na draperyę potrzeba trzech części (ryc 16), z których *a* i *b* stanowią upięcie boczne. Część większą *a* z boków przyfałdowaną, daje się do dołu zaczynając od środka przodu, a część trochę mniejszą *b* upina się w górze, zaczynając więcej z boku; początek draperyi z przodu przysłaniają falbany, a brzegi tylne podchodzą pod suty bryt tylny, którego tylną połowę przedstawia litera *c*.

N. 10. Suknia z draperyą w kształcie kokardy.

Model sukni odrobiony był z granatowej satynety; przód stanowiło szerokie plisowanie, zakończone małem panier, w górze na brzeg baskiny stanika zachodzącem. Z tyłu na plisowaną falbanę spadają końce draperyi upiętej z prostego bryta w koło koronką oszytego, mającego 70 cent. szerokości a 300 długości, któren w środku ułożony jest w wielką kokardę, przypiętą do brzegu baskiny, a końce są spuszczone sposobem wskazanym na r. 10.

N. 21—23. Deseń na serwetę albo na roletę. Haft na płótnie.

Deseń podany na ryc. 18, jest zmniejszoną kopją starych haftów na płótnie z wieku XVI i XVII. Żałujemy iż brak miejsca nie pozwala nam podać deseniu w naturalnej wielkości, ani szczegółowo opisać roboty, lecz dla osób obeznanych z robotami podobnemi i umiejących rysować, dostateczny będzie model i podane poniżej szczegóły. Haft obrazu środkowego po większej części robiony był bawełną białą, tylko nakrycia głowy i ubrania szyi u obudwóch osób, szlaki i obwódki deseni w dywanie, fałdy w firankach, szeslong widoczny w dali i ramy obrazu robione były ponsowo; jakoteż po części filary i ozdoby wewnętrznej ściany. Na ryc. 22 dajemy w naturalnej wielkości część deseniu górnego szlaku ściany, na którym wyraźnie wskazane są rodzaje ściegów, a kolor ponsowy jest ciemno oznaczony. Ryc. 23 przedstawia deseń i próbki ściegów do szlaku niższego, a na ryc. 24 widzimy część ramy z narożnikiem. W arabeskach otaczających obraz, kontury liści, kwiatów, ptaszków, gałązki i wąsy są ponsowe, a rozmaite rodzaje ściegów zapełniających tło robione są biało. Na modelu wielkość całego haftu wynosiła 75 cent. długości a 58 wysokości. Brzegi oszyte były szeroką nicianą koronką, wywodzoną bawełną ponsową.

N. 25. Koronka szydełkowa robiona z tasiemką ozdobioną kolorowem wyszyciem.

Górne obrobienie słupkami robi się oddzielnie przy tasiemeczce koronkowej, a następnie przyszywa okrętką z lewej strony do zębów. Te zaś obrabiają się w górze jak następuje: *, 1 oczko ściśle w pikot, 7 oczek powietrznych, trzy listki, każden z 3-ch dwa razy nawijanych słupków, u dołu w 1 pikot branych, w górze 1 oczkiem powietrznem przerabianych, 7 oczek powietrznych, 1 oczko ściśle, 7 oczek powietrznych, 1 oczko ściśle, powtarzać od gwiazdki, następnie obrobić słupkami. Sposób łamania zębów i branie oczek ścisłych za pikoty, dokładnie wskazany na próbce. U dołu zęby obrobić rzędem słupków z pikotami.

N. 28. Suknia z draperyą szalową.

Spódnica sukni z szafirowego surah, spódnica zagarnirowana była 5 cent. szerokiemi plisowaniami z tegoż materyału i 11 cent. szerokiemi wolantami w kontrafałdy układanemi z *moiré-antique*, która wraz szeroką gładko przyszytą i w górę wywiniętą koronką stanowi piękne i kosztowne przybranie. Prostą szalową draperyę układa się z bryta 100 cent. szerokiego a 114 długiego, z boku przemarszczonego, w końcach do 65 cent. długości sfałdowane, w tyle dopełnionego upięciem z jednego prostego bryta. Stanik z boku zapinany, zdobi plastron fałdowany z *moiré-antique*, także plisa 11 cent. szeroka u dołu i przy rękawach. Kołnierzyk przemarszczany stojący z surah, kokardy z wstążki morowej.

N. 30. Suknia z draperyą tunikową. Krój draperyi podług ryc. 28—29 w N. 27.

Model sukni odrobiony był z niebieskiego zefiru, gładkiego i w paski, ten fason jednak służyć może do fularu, kaszmiru, surah i t. p. Spódnica oszyta była plisowaniem 60 cent. szerokiem z gładkiego materyału, z pod którego wyglądała wązka falbanka z materyału w paski. Stanik skośnie na kryte haftki zapinany, zdobi kołnierz chusteczkowy, ktoren może być zrobiony oddzielnie, między boczne szwy wszyty jest pasek ze wstążek. Na brzeg stanika zachodzi draperya tunikowa z materyału w paski, przykrojona podług wyżej podanego kroju, z boków w głębokie fałdy podpięta, z brzegów plisowaniem z koronki ogarnirowana, w górze do zwierzchniej połowy stanika przyszyta, dalej przypinana, z tyłu brytem oddzielnym dopełniona.

N. 31. Próbka haftu na adamaszkowym materyale.

Odpowiednio do rodzaju adamaszku na aksamicie lub jedwabnego dobiera się do obwodzenia konturów nitkę złotą lub srebrną, cienki okręcany sznureczek jedwabny lub t. p. Końce sznureczka trzeba na lewą stronę przeciągać i tam przymocować.

N. 33—34. Koronkowy kołnierz pelerynowy.

Do sukni ze stanikiem bawetowym z tyłu zapinanym, przepasanym szarfą z szerokiej wstążki, dodany jest duży pelerynkowy kołnierz, zrobiony z koronki 19 cent. szerokiej, mający 123 cent. dolnego obwodu, a 43 przy wykroju szyi, 28 cent. tylnej a 20 przedniej długości. Gładko rozpostarty model ryc. 34, uczy jak robić kołnierz i gdzie dawać potrzebne do nadania formy zaszewki. Wykrój szyi wszyty w listewkę muślinową $2^1/_2$ cent. szeroką, pokrytą koronką, pod którą podłożona wstążka atłasowa.

N. 35. Chusteczka koronkowa z żabotem.

Chusteczkę 22 cent. szeroką a 115 długą urządza się z trzech rzędów koronki 9 cent. szerokiej, jeden na drugim zeszytych; na ramionach daje się po dwie potrzebne do formy zaszewki, następnie trzeba wykrój szyi dopasować i w pasek 2 cent. szeroki wszyć. Na listewkę spada kołnierz 69 cent. długi w rogach w kant zaszyty, pod którem podkłada się nieco przyfałdowaną wstążkę. Na 20 cent. długości do brzegów kołnierza, przyczepiony jest fałdowany żabot, pod którym chusteczka spięta jest kokardą ze wstążki różowej do cieniu, 11 cent. szerokiej.

N. 36. Majtki i bluzka dla małego chłopczyka. Krój podług ryc. 34 w N. 27.

Na modelu krótkie majtki do staniczka przypięte i żakietka bluzkowa, zrobione były z dreliszku w paski niebieskie, z wypustkami z płótna granatowego. Przy listwie do zapinania z każdej strony przodów dane po dwie $2^1/_2$ cent. szerokie, z wypustkami na dwie strony zaszyte zakłady; w pleckach zakład 4. Pasek 5 cent. szeroki, przeciągnięty z tyłu przez dwie patki.

N. 38. Duży worek na roboty.

Odrobiony był z 68 cent. trzymającego kwadratu szwajcarskiego ponsowego perkalu, ozdobionego wyszyciem krzyżykowem robionem na 4-ch nitkach najcieńszej kanwy, filozelą niebieską i oliwkową w dwóch cieniach. Kwadrat perkalu rozcina się na dwie połowy, zeszyte z boków aż do 6 cent. szerokiego rozporka, przy którym przeszywa się listewkę do ściągania; pod cały woreczek daje się takąż samą podszewkę. Brzeg dolny przymarszczony wszywa się do dna z tektury mającego 23 cent. długości a 13 szerokości, pokrytego na dwie strony kretonem. Grube ponsowe wełniane sznury zakończone kulkami, służą do ściągania.

N. 30. Przyrząd do wycierania piór, z hubki mającej powierzchowność naśladującą aksamit.

Dwa kawałki hubki u dołu w ząbki wycięte, w górze zaokrąglone, mające 7 cent. wysokości a 11 szerokości, zeszyte z lewej strony, stanowią zwierzchnie przykrycie przyrządu do wycierania piór który w górze oprawiony jest w rękojeść bronzową. Górną część hubki trzeba podwatować, a dolną zapełnić suknem czarnem w ząbki wyciętem, mającem 4 cent. szerokości, ułożonem w kontrafałdy. Hubkę zdobi haft różnokolorowy, robiony ściegiem pospiesznym dwunitkową filozelą.

N. 40. Poduszeczka do szpilek podwójnych ozdobiona robotą macramé.

Praktyczną poduszeczkę do szpilek podwójnych, urządza się na okrągłem, średniej wysokości pudełeczku tekturowem, którego otwór przykrywa się rzadkim trykotowym materyałem, a boki zdobi atłasem plisowanym i paskiem roboty krzyżowej, haftu, roboty macramé lub perełkowej. Na modelu pasek macramé, robiony był z kordonku niebieskiego i paljowego, a plisowanie z atłasu niebieskiego.

N. 41. Krawatowa kokarda z surah.

Kawałek surah mający 70 cent. długości a 30 szerokości, u dołu i z poprzecznych brzegów oszyty koronką, układa się na kawałku sztywnego tiulu, w kokardę złożoną z dużego pukla i dwóch końców plisowanych.



N. 1. Kapelusz „Carmen".

Opis do N-ru 38.

(Dokończenie.)

Na modelu haft robiony na atłasie bordo, miał 82 c. długości a 40 szerokości, a z brzegów oszyty był 6—8 c. szerokiemi paskami pluszu. Kwiaty robione były kolorami niebieskiemi, bronzowemi, lilla i blado-żółtemi do cieniu. W każdym kwiecie jeden z powyższych kolorów stanowi tło, gdy drugi lub nawet pare z nich służą do ożywienia roboty i oznaczenia żyłek. Na ryc. 5 widzimy jak cienie powinny wchodzić jedne w drugie. Liście robić różnemi zielonemi cieniami. Całego deseniu dla braku miejsca podać nie możemy. Na uwagę zasługuje uszycie poduszki, podszytej takim samym atłasem; brzegi tak zwierzchniej jak i spodniej części, oszyć burtą 2 cent. szeroką niebieską i oliwkową, za którą do wierzchu przyszyć $4\frac{1}{2}$ cent. szeroką torsadkę z kwaścikami. Pomiędzy wierzch i podszewkę wszyć suflet 15 cent. szeroki z atłasu lub innej materyi, przepinany do 3 c. szerokości, w odstępach 15—17 cent. agrafami z jedwabnego sznura. W czterech rogach poduszki przyszyć sute kwasty.



N. 4. Kapelusik „Cabriolet" dla małej dziewczynki.

N. 5. Kapelusik okrągły dla małej dziewczynki.

N. 3. Kapelusik marynarski dla małego chłopczyka.

N. 6. Książeczka do notatek.

Mała podłużna książeczka do notatek zapinana jest z wierzchu przedłużonym trójkątem, na którym haftuje się złotem lub jedwabiami do cieniu ozdobną, gotycką literę.

N. 7 i 8. Dwa rękawy do sukien.

Na ryc. 7 podajemy rękaw, oszyty koło ręki 9 c. szerokiem przemarszczaniem z materyału w paski, zakończonem u dołu wązką falbaneczką, na którem naszyty jest skośnie 7 cent. szeroki odstający ranwers z gładkiego materyału, złączony przy szwie zewnętrznym węzłem. Na ryc. 8 przemarszczanie 12 cent. szerokie, naszyte jest tylko na zwierzchniej połowie rękawa, część spodnią zdobi mankiet gładki, zachodzący na przemarszczanie, sposobem wskazanym na ryc. 8.



N. 2. Kapelusz „Jolie femme". Patrz ryc. 43.



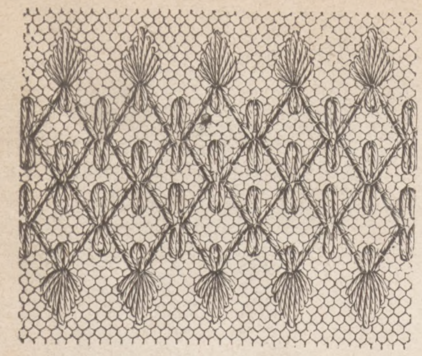
N. 6. Ubranie z chusteczką.

N. 7. Suknia z vêtement fartuszkowem dla małej dziewczynki. Patrz plecy na ryc. 26.

N. 8. Fartuszek do zabaw na odkrytem powietrzu.

N. 9. Suknia z draperyą i ze stanikiem z baskiną. Patrz przód na ryc. 27. Model kroju draperyi na ryc. 16. w N. 38.

N. 10. Suknia z szarfową draperyą.



N. 11. Wstawka do sukien, chusteczek i t. p. Wywodzenie na tiulu czarnym lub białym.

N. 9. Kołnierzyk „Colbert" z kokardą.

Obok lekkich, klarownych chusteczek do strojnego ubrania, a płóciennych kołnierzyków, wązko do szyi przystających, do domowego i rannego ubrabnia, duże kołnierzyki *Kolbert* zwane, bardzo są modne, szczególniej dla młodych panienek. Ryc. 9 przedstawia taki kołnierzyk z cienkiego płótna, formą okrągławą, z tyłu 10 cent. szeroki, z przodu stopniowo do 5 cent. zwężony, w końcach ozdobiony 1 1/2 cent. szerokiemi listewkami, wyszytemi biało lub kolorowo ściegiem cierniowym, a przedzielanemi wąziutkiemi, klarownemi wstawkami. Brzeg oszyty marszczoną fabryczną lub na tiulu wywodzoną koronką. Kokarda z 9 cent. szerokiej wstążki morowej do cieniu, z trzema końcami wysiepanemi na frendzlę 3 cent. szeroką.

N. 10—11. Woreczek robotą wiązaną macramé

Rycina 11 przedstawia część roboty w naturalnej wielkości.

Model woreczka do pieniędzy, robiony był sposobem wiązanym, z grubego zielonego jedwabiu i nitki złotej, na 5 lub 6 kratek szerokości. Pozłacane okucie ma dziureczki do przyszycia, a dla przykrycia szwów daje się na ściegach perełki złote.



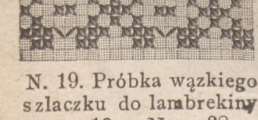
N. 16. Próbka ściegu plecionego robionego na nitkach idących prosto. Do lambrekiny r 18 w N-rze 38.

N. 12. Kapotka „Miss Lucy".

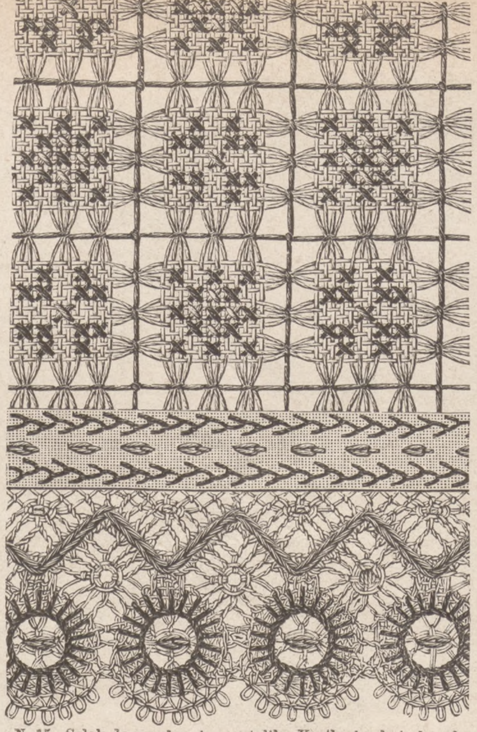
Kapotka z różnokolorowej słomki, była podszyta i ubrana aksamitem bordo i bukietami róż z jasnemi liściami.

N. 13. Kapotka „Niniche".

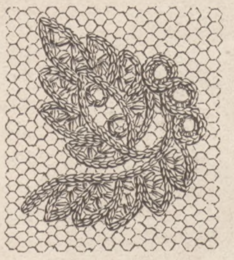
Maleńka słomkowa kapotka bez szarf do wiązania, miała rondko podszyte marszczonym atłasem, a z wierzchniego brzegu objęte girlandką z traw i bladozielonych, drobnych nieśmiertelników. Skos atłasu 15 cent. szeroki, upięty był na główce i rondku. Suty bukiet różnokolorowych bratków z liśćmi różnych zielonych odcieni, dopełniał ubranie kapotki.



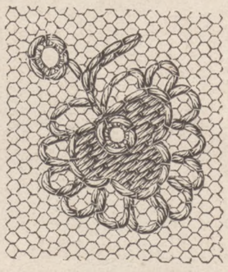
N. 19. Próbka wązkiego szlaczku do lambrekiny ryc. 18 w N-rze 38.



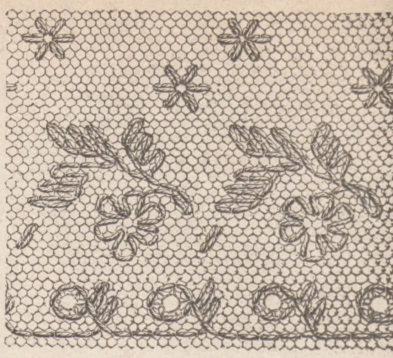
N. 15. Szlak do przykrycia na stolik. Kratka i robota krzyżowa na kanwie płóciennej, szlaczek wyszyty na tasiemce koronkowej i koronka niciana wywodzona jedwabiem kolorowym.



N. 13. Rzucik na tło tiulowe do czepeczków, chusteczek i t. p.



N. 14. Rzucik na tło tiulowe do czepeczków, chusteczek i t. p.



N. 12. Koronka do chusteczek, czepeczków, kołnierzyków. Wywodzenie na tiulu.

N. 14—15. Sukienka princesse z plastronem z przodu, dla dziewczynki lat 6—8.

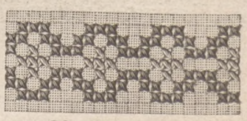
Ryc. 14 przedstawia strojną sukienkę z białego batystu, suto ozdobioną wstawkami i falbankami haftowanemi i wązką walencienką, przykrojoną podług formy princesse lub paletocikowej. Falbany przy spódniczce mają 8 c. obrąb z przodu do zapięcia sukienki 3 cent. szerokości. Na ryc. 15 podajemy z tyłu takąż sukienkę odrobioną z materyału wełnianego, gładkiego i w kratę, przy której w miejsce plastronu z angielskich haftów i fabrycznie tkanych zakładek, przód zdobią proste fałdy; falbanki plisowane mają nagłówki i listwy u dołu, z materyału w kratę. Plecy u dołu zdobi suta kokarda, zakończona w górze fałdowanym nagłówkiem, przytrzymanym z boków patkami 3 cent szerokiemi, a 17 długiemi. Przy sukience białej kołnierz pelerynkowy 14 c. szeroki i mankiety przy rękawach są ze wstawek, falbanek i koronki, a przy sukience wełnianej z materyału gładkiego i w kratę, oszyte mocną, 5 c. szeroką koronką.



N. 17. Próbka ściegu plecionego robionego skośnie do lambrekiny ryc. 18 w N-rze 38.

N. 18—20 i r. 16 do 20 w N. 39. Lambrekina do firanek. Haft ściegiem plecionym na rzadkiem płótnie.

Ryc. 18 w N. 39



N. 20. Szlaczek wązki do lambrekiny ryc. 18 w N-rze 38.

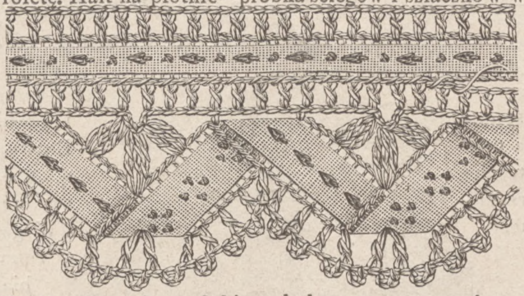


N. 18. Szlak szeroki do lambrekiny ryc. 18 w N-rze 38. Ścieg pleciony na kanwie płóciennej.

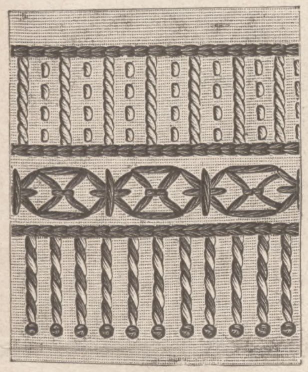
podaje w naturalnej wielkości część szlaku szerokiego, robionego ściegiem plecionym, jedwabiem ponsowym na płótnie rzadkiem niezmaglowanem, albo lepiej na kanwie płóciennej. Na ryc. 19 w N. 39 podajemy w naturalnej wielkości róg jednego zęba robionego na takiej kanwie, gdzie widać także wyraźnie jak się ściegi plecione układają. Kolor jaśniejszy w kwadracie zęba, oznacza ściegi robione złotem, zwykłemi krzyżykami; można także zapełniać złotem środkowe kwadraty w szerokim szlaku, sposobem wskazanym na ryc. 20. Podług ryciny 18 i 19 łatwo będzie wykonać zmiany potrzebne, ażeby szlak r. 18 w N. 39 zębami zakończyć. Już w N. 17 Tygodnika Mód przy ryc. 19 i 20 podaliśmy opis ściegu plecionego, teraz jeszcze powtórnie damy próbki tego ściegu w N. 39, gdzie próbka N. 17 uczy w jaki sposób dawać ściegi skośne, a ryc. 16 wskazuje robotę ściegów prostych. Takiemi skośnemi ściegami robiona jest linijka w nagłówku lambrekiny, oraz podwójne i pojedyńcze linijki w zębach na r. 19. Piękność roboty zależy właśnie na różnych kierunkach ściegów, których zmiany widoczne są na r. 18 w N. 39. Jedwab koronkowy musi być brany w najlepszym gatunku, nie zmieniającym koloru w praniu. Kwasty szmuklerskie przyczepiane przy zębach, robione są ze sznureczka jedwabnego ponsowego, cienkiego i grubego.



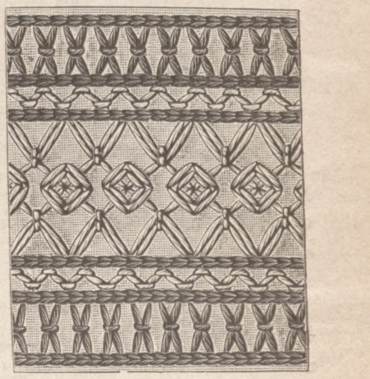
N. 21. Wzór deseniu na serwetę lub roletę. Haft na płótnie—próbka ściegów i szlaczków w naturalnej wielkości ryc. 22—24.



N. 25. Koronka ozdobiona kolorowem wyszyciem. Robota szydełkowa z tasiemeczką koronkową.



N. 22. Część szlaczku górnego na ścianę obrazu do haftu ryc. 21.



N. 23. Część szlaczku dolnego na ścianę obrazu do haftu ryc. 21.

N. 21. Sukienka wycięta dla dziecka noszonego na ręku. Krój podług ryc. 25 w N 10.

Przód białej muślinowej lub batystowej sukienki, zdobi plastron zaszyty w drobne zakładki, między które w środku wszyta 2 cent. szeroka wstawka koronkowa, zakończona falbankami równie szerokiemi; z boków plastronu wszyte wstawki bez falbanek, a brzegi zakończone są falbanką mającą u dołu 5 cent. szerokości, ku wcięciu w pasie zwężoną do 2 c., a następnie na staniku i przy krótkich rekawkach rozszerzoną do 3 c. Poprzecznie naszyte dwie falbanki mają 6 c. szerokości, w górze zakończone są wstawką i nagłówkiem 2 cent. szerokim. Wszędzie szwy przykrywają wązkie, skośne listewki stębnowane. W około sukienki nad obrębem 8 c. szerokim dane 5 wązkich stębnowanych zakładek. Luźno z przodu związana szarfa jest ze wstążki kolorowej.

N. 22. Sukienka długa pod szyję dla dziecka.

Przód i boczki sukienki kraje się podług formy princesse; prosty, szeroki bryt tylny, fałduje się i wszywa w karczek. Model z grubej białej piki odrobiony, zdobiła u dołu szeroka haftowana wstawka, wszyta pomiędzy liczne rzędy stębnówek, pod które podkłada się od spodu szyrtyng, ażeby stały się wydatniejsze nakształt sznureczków. Końce 16 cent. szerokich szarf batystowych, zdobi haft point d'armes. Z prawego boku, 13 c. od wykroju pachy, dla wygodniejszego noszenia dziecka, daje się na szwie rozporek 25 cent. długi.



N. 26. Plecy do fartuszkogo vêtement ryc. 7.



N. 28. Suknia z draperyą szalową.

N. 29. Suknia z draperyą szalową i pelerynką. Przód na ryc. 2 w N. 38. Krój pelerynki ryc. 21. w N. 18.

N. 30. Suknia z draperyą tunikową. Krój draperyi podług r. 28 i 29 w N. 27.



N. 27. Przód sukni do r. 9.

N. 23—24. Dwie kapotki dziecinne.

N. 23. Kapotka atlasowa.

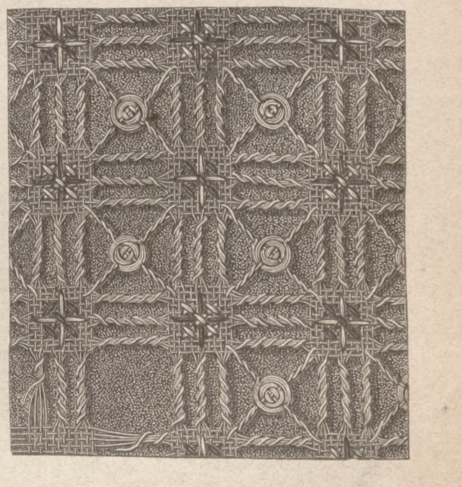
Pod główkę wysoką, mającą w przecięciu 15—16 c. szerokości, daje się muślin sztywny i fularową podszewkę; na atlasie odrobiony pospiesznym ściegiem, kordonkiem białym haft, widoczny na ryc. 23. Rondko 2 cent. nad główkę wystające, urządza się ze skośnego 75 cent. długiego, a 12 szerokiego kawałka atlasu, któren zawija się od dołu 4, w górze 2 cent. do spodu, podkłada podwójnie lub potrójnie muślinem skośnym, ażeby bufka lepiej odstawała, przeszywa w odstępie 2 i 3 c. od dolnego i 1 cent. od górnego brzegu na wewleczenie trzcinek, które następnie ściąga się sposobem wskazanym. Górny brzeg rondka, stanowiący nagłówek oszywa się koronką $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką, którą naszywa się drugi raz pomiędzy drugą i trzecią trzcinką. Sute ubranie kapotki stanowi kokarda z szerokiej wstążki z przodu na główce, rozety z koronki i wązkiej wstążeczki i riusza z koronki przepinana pukielkami z wązkiej wstążki.



N. 31. Próbka roboty złotem lub okręconym sznureczkiem na adamaszku.



N. 24. Narożnik ramy do obrazu do haftu ryc. 21.



N. 32. Próbka roboty ażurowej na kanwie do woreczka ryc. 29 w N. 38.

N. 24. Kapotka kaszmirowa.

Główkę i rondko kapotki stanowi owalny kawałek kaszmiru, mający 36 cent. wysokości a 33 szerokości, podszyty fularem albo satynką, w którym w odstępie 3 cent. od brzega przeszywa się w koło dwie wązkie listewki do nawleczenia sznureczka, na który następnie przyciąga się kapelusik podług główki. Brzeg rondka fałdującego się sposobem wskazanym na rycinie, oszywa się koronką, a na wierzchu 1 cent. od brzega naszywa się sznur jedwabny; od spodu daje się riuszę 24 cent. długą z koronki i wstążeczki. Ubranie ze wstążki w atłasie $3\frac{1}{2}$ cent. szerokiej.



N. 33. Kołnierz pelerynkowy z koronki. Patrz ryc. 34.



N. 35. Chusteczka koronkowa z żabotem.



N. 36. Ubranie dla małego chłopczyka. Majtki i żakietka bluzkowa. Krój podług ryc. 34 w N-rze 27.

N. 25—27. Przykrycie na stolik do szycia. Haft gobelinowy i krzyżowy.

Model serwetki haftowany był na suknie bronzowem, filozelą o dwóch nitkach, której kolory oznaczone są na próbce r. 28. Wielkość serwetki pasuje się tak podług stolika, żeby szerokość dochodziła tylko do brzegów, a na długość szlaki haftowane a nawet i trochę tła było spuszczone. Wielkość krzyżyków i ściegów gobelinowych oznaczona na ryc. 26.

N. 29—30 i ryc. 32 w N. 39. Woreczki pompadour.

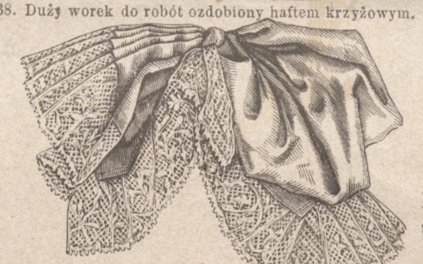
Najwłaściwszym na takie woreczki materyałem jest plusz lub atłas. Forma zwykle prosta nadaje się do najrozmaitszych ozdób i rodzai haftów. Do naszych modeli prosty kawałek materyału 30-35 c. długi a 40 szeroki, składa się przez środek we dwoje, zeszywa z jednego boku i u dołu, górne, z boków otwarte brzegi stanowiące nagłówek, a dochodzące do ściągania woreczka podszywa się zwykle atłasem odmiennego koloru, a dalej woreczek satynką. Ryc. 29 przedstawia woreczek z pluszu jasno-zielonego, ozdobiony 15 cent. szeroką ażurową robotą na kanwie kongresowej ecru, próbkę roboty podajemy na ryc. 32 w N. 39. Na kratki wyciąga się wzdłuż i wszerz po 10 nitek, a na kwadracik pozostawia nitek 12. Nitki pozostałe między kwadracikami bierze się po 4 razem i obrzuca 5 razy nitką złotą, którą robi się także pająjczki; wyszycie na kwadracikach daje się naprzemian krzyżykami robionemi jedwabiem niebieskim i ponsowym, a luźne ściegi jedwabiem bronzowym i ponsowym. Nagłówek na 8 c. otwarty z boków, podszyć atłasem ponsowym, sznury i kwasty ponsowe jedwabne. Na ryc. 30 podajemy woreczek czarny atłasowy, z nagłówkiem podszytym atłasem vieil-or, a ubranym wstążką czarną atłasową $2\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Wyszycie krzyżykowe robione było jedwabiem vieil-or w trzech cieniach, szlaczek miał 18 ściegów szerokości, drzewko środkowe 57 wysokości a boczne po 26. Sznury koloru vieil-or.



N. 38. Duży worek do robót ozdobiony haftem krzyżowym.



N. 39. Przyrząd do wycierania piór.



N. 41. Kokarda krawatowa z materyi surah.



N. 34. Kołnierz pelerynkowy płasko rozłożony do ryc. 33.

N. 33. Kosz toaletowy z przykryciem, ozdobiony aplikacyą i haftem.

Obszerny kosz pleciony z grubego łyczka, miał wieko trochę wypukłe, pokryte pluszem oliwkowym, ozdobionym aplikacyą z welwetu w deseń kolorowy i haftem robionym filozelą Kontury deseniu obwodzone były kręconym, jedwabnym sznureczkiem. Brzegi kwadratu przymocowane były wązką, czarną jedwabną taśmą, wyszytą jedwabiem niebieskim i oliwkowym. Riusza około wieka ze wstążeczki w atłasie koloru vieil-or; kwasty z jedwabiów i włóczki różnokolorowej. W górze w około kosza 3 cent. szeroka torsada, przerabiana jedwabiami tych co haft kolorów.



N. 37. Ubranie dla małej dziewczynki, złożone ze spódniczki fałdowanej przyszytej do spodniego staniczka i z długo spuszczonej bluzki.

N. 34. Ubranie ranne z krótkiem vêtement.

Do picia wód i do rannych spacerów, modniejsze są ubrania ranne obciśle przylegające do figury, niżeli luźne negliże. Na ryc. 34 widzimy batystową spódnicę z szeroko haftowanemi falbanami, i krótkie kaszmirowe vêtement gładko spuszczone, które przykroić można podług każdej dobrej formy stanika. U dołu vêtement oszyte jest białą koronką, a kołnierz przemarszczany; wyłogi przy rękawach, plisy z przodu i kokardy są z atłasu w kolorze heliotropu. *(Dok. p. w Dod. Nadz.)*



N. 40. Poduszeczka do szpilek podwójnych ozdobiona robotą macramé.



N. 42. Czepeczek dla dam w podeszłym wieku.



N. 43. Kapelusz „Jolie femme". Patrz tył kapelusza na ryc. 2.